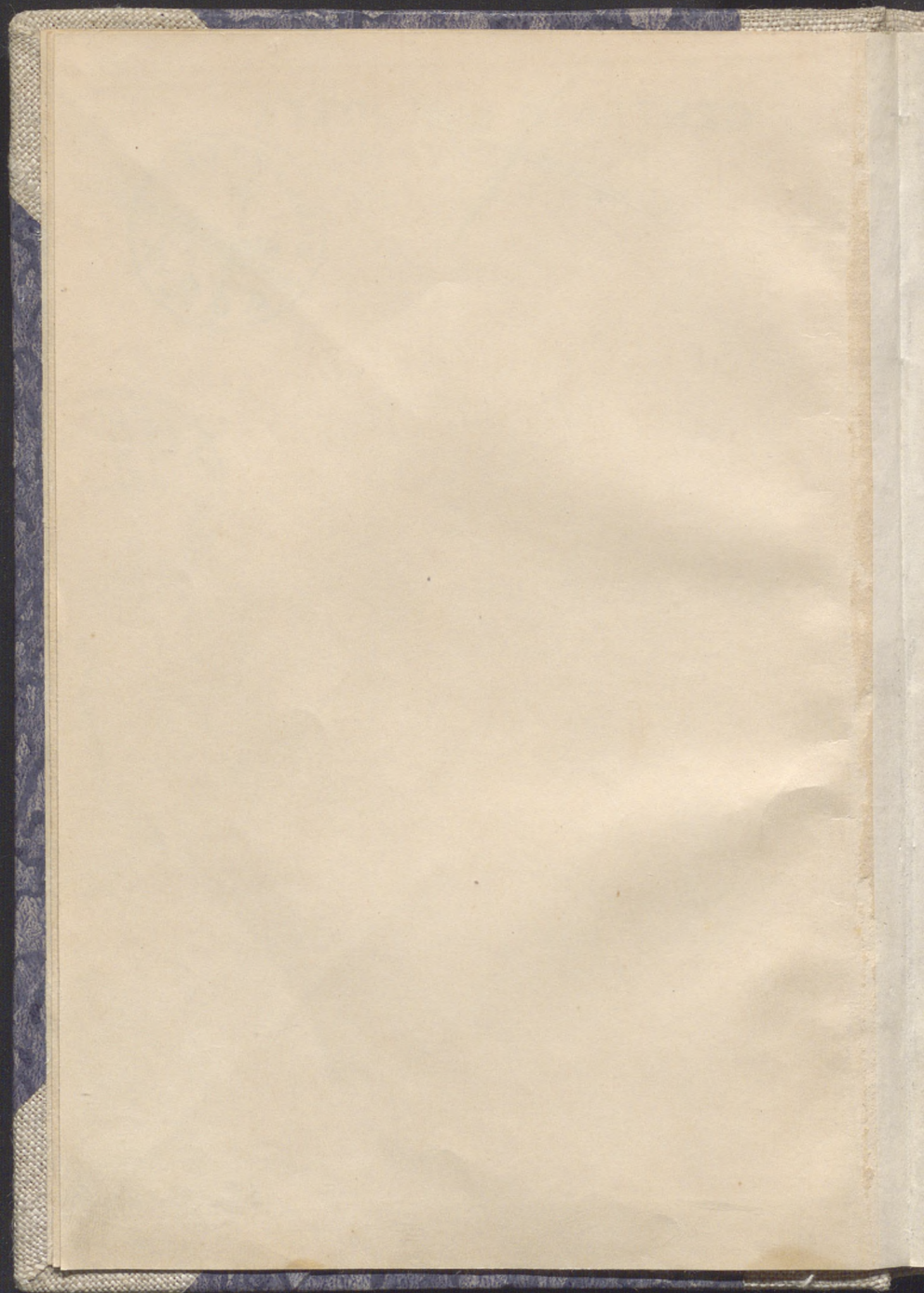


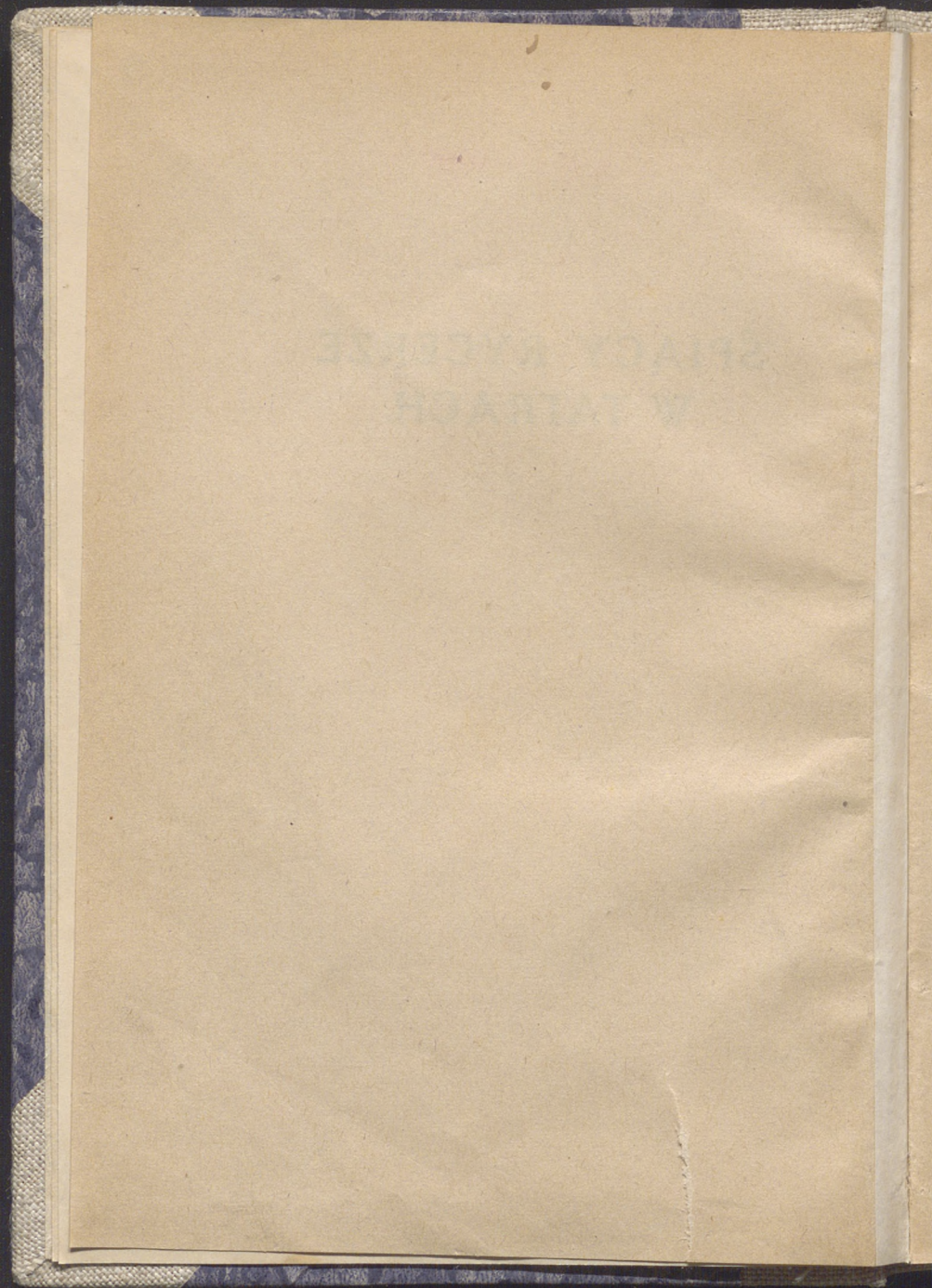
CENTRALA BIBLIOTEK
RUCHOMYCH
D. O. K. VIII TORUŃ.



21-330



ŚPIĄCY RYCERZE
W TATRACH.



LUDWIK STASIAK

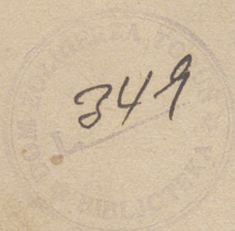
ŚPIĄCY RYCERZE
W TATRACH



[1929]

NAKŁADEM SPÓŁKI PEDAGOGICZNEJ T. A., POZNAN
DOM KSIĄŻKI POLSKIEJ, WARSZAWA

Przedruk prawnie wzbroniony!



BIBLIOTEKA
BN
NARODOWA
I. 808.519



CZCIONKAMI DRUKARNI HANDLOWEJ T. Z O. P. POZNAŃ

1972 W 590/7

CENTRALA BIBLIOTEK
RUCHOMYCH
D. O. K. VIII. TORUŃ.



I.

Słońko promienieje nad starymi łożyskami Haweli, przejrzało się w bagnach, zarosłych trzcina i przestrzenie zgniłych moczarów zamieniły się nagle w morze płynącego złota. Schowało się za mietlice tataraku, zapadło wreszcie w trzęsawiska.

Prześliczna, ciepła, majowa noc.

A mimo nocy, obóz, otaczający twierdzą braniborską, kipi życiem i gwarą żołnierstwa.

Sto ognisk rozpalono, przy ogniskach strudzone całodziennym bojem wojsko gotuje wicherzę ze zwierzyny, zabitej na łowach w lesie, zrabowanej w słowiańskich włościach nad Hawelą i cieplickim jeziorem. Czarne postacie roją się koło kotłów, oszczepnicy rzuciwszy broń, znoszą z lasu suche sośniaki i gałęzie świerków, ogień pod zabitym żubrem lub jeleniem podsycają.

Rozdarto dymiące się mięso, zaspokoił żołnierz głód, napił się krynicznej wody i zmordowany trudem, rzucił się w namiocie na posłanie.

Uciszyło się obozowisko naokoło twierdzy, ale choć żołnierz zasnął, a ogromna przestrzeń zajęta przez obóz znikła, przecież od strony braniborskiej w późną noc słychać ludzkie nawoływania, słychać echo ludzkiej pracy. Ludzie jacyś chodzą koło okopów, z daleka dolatuje cichy, jakby senny półgłos księdza, który odprawia modlitwę.

To ciury niemieckie zbierają z pobojowiska trupy, noszą do wykopanych dołów każdego żołnierza, który z ręki pogańskiej za wiarę świętą poległ, kapłan po chrześcijańsku grzebie, za duszę jego się modląc, wodą poświęconą go skrapiając, grudkę ziemi sypiąc na jego zwłoki.

— Patrz, Awikonie, tu hrabia z Akwizgranu leży.

— Poległ za Chrystusa.

— Zdruzgotał mu głowę głaz rzucony z częstokołów.

— Pochować go trzeba.

— Niech Bóg mu da światłość wiekuistą.

— Requiescat in pace!

— Co to? Słyszysz? Tamten setnik wojsk bawarskich jeszcze żyje...

— Żyje, oddycha, szepce coś...

— Pierś ma rozplataną toporem.

— Do obozu z nim!... Zawiążem jego rany, leczyć go będziem.

— Patrz, tam drugi...

— O pomoc woła. Jęczy, okropnie jęczy...

— Cicho... Po polsku coś szepce...

— To żołnierz Mieszkowy. W polskich rotach go widziałem...

— Polak? To mu do skonania pomogę. Łeb brzeszczotem rozwalę...

— Jakto, jakto? Nie zatamujesz krwi? Leczyć nie będziesz? Wszak to nasz sprzymierzeniec i chrześcijanin...

Dziesiątnik, który zbieraniem trupów kierował, zaśmiał się na całe gardło.

— Chrześcijanin! Tak! Chrześcijanin!

— Mieszko, ich pan, sprzymierzeńcem jest przeciw cesarstwa rzymskiego...

— Papieżowi kraj polski w opiekę poddał...

— Głupiś! — krzyknął dziesiątnik. — Uczynił to dlatego, aby go nie poddać niemieckiemu cesarzowi. Szczwany lis...

— Co mówisz? Włosy syna swego Bolesława jako znak oddania się do Rzymu przesłał...

— I wy mu wierzycie? A ja wam powiadam, że ci, zamknięci w twierdzy braniborskiej, słowiańscy poganie i ochrzczona Polska, to jedna krew, jedna wiara, jedna do wszystkiego co niemieckie nienawiść...

— Wody!... zajęczał po polsku żołnierz, któremu oczy zlepiła zaschła, zsiadła krew.

— Czego on chce?

— Nie wiem. Nie rozumiem. Ty Benedykcie umiesz po słowiańsku...

— Chce kropli wody...

— Wody? Dam mu zaraz wody.

Przyskoczył dziesiątnik i męczącemu się oszczępnikowi głowę toporem rozplątał. Skręciło się ciało konwulsyjnie, palce u rąk zaplotły się nerwowo i żołnierz wyzionął ducha.

— Trzeba go zanieść do wspólnego grobu.

— Niech ksiądz nad nim modlitwę zmówi.

— Do wody bliżej. Poco jemu chrześcijańskiej modlitwy.

— Wszak wodą z grzechu obmyty...

— Nie wymyje woda jadu nienawiści, jaka wre przeciw nam w sercach Mieszkowej czerni.

Wepchnięto zwłoki zabitego człowieka w toń, która rowami twierdzę opasywała, a żołnierze milczkiem przeszli rudere mostu, zarzuconego przez oblegające wojsko.

— Tam leży dwóch naszych; ciała ich zabierzemy.

— Chodźmy pod częstokół.

— Milczkiem!

— Szeptem się nie zdradzić, nie obudzić straży pogańskiej na częstokole...

— Tam leży młody grafl... widać go...

Rozległ się jęk puszczyka. Gwizd słyhać w olszynach... Wpadło coś do wody. Plusk ogromny, zaburzyła się fala, zbielił się bałwan, kaskadą prysł ponad kaliny i w pianach z powrotem wleciał do wody.

Swist słyhać poraz trzeci. Nie w wodzie tym razem i nie w leszczynach. Kamień procą rzucony z częstokołu twierdzy, zagwizdał w powietrzu i trafił w łeb dziesiętnika, roztrzaskał skronie, które buchły falą krwi...

— Zdechł — krzyknął ktoś radośnie z wałów grodna.

— Niech ich wszystkich Marzanna pomorem
wytraci!

— Najeźdźcy! Zbóje! Rabusie hawelańskiej
ziemi!

— Patrz! Jeszcze zostało dwóch!

— Kamieni! Kamieni!

Dwaj pozostali żołnierze upadli na ziemię.
Tulą się do krzaków, chowają w trawach, pierw-
szy dopadł nadbrzeżnych tataraków i w oczeretach
zginął, drugi wplaw przebiegł wodę i zdołał uciec
do obozu.

I znowu cisza...

Cisza taka, jak przed burzą, nim pioruny za-
trzęsą światem, oślepią swym blaskiem.

Bo oto w ćmie nocnej otwarły się z cicha
wierzeje twierdzy braniborskiej, wysypuje się z
nich czarna nawała, jakby snuła się gromada sza-
tanów, jakby nadciągała czarna gradowa chmura.

W grobowej ciszy przeszli przez groble, prze-
mknęli przez pomost, wyszli na błóń, chyłkiem do
namiotów niemieckich się zbliżają...

Ocknął się wartownik.

— Jezus, Marjo!

Już za późno, za późno! Jak burza wpadają
słowiańskie szeregi na śpiących knechtów, sze-
rząc w namiotach śmierć i zniszczenie.

Kilka namiotów wycięli w pień. Niemiec marł,
nim się przebudził, zwycięska nawała leci ku na-
miotowi wschodniego margrafa.

Ozwały się trąby, zabiły wszystkie niemieckie kotły, trąby nawet z polskiego słyhać obozu.

— Do bronii! Z twierdzy czerń wypadła! Mordują obóz!

Za późno!

Z błyskawiczną szybkością zgromadziła się zwycięska gromada koło wodza — władcy, ucieka, — ku stawom leci... rowy przebywa, na wały się drapie...

A tam, zbudził się cały niemiecki obóz, uczucie zemsty, wściekłości, szału zapaliło serca.

Dwadzieścia rot Niemców pędzi za pogaństwem, aby śmierć braci pomścić, lecą na okopy tak długo, dopóki nie wstrzymał ich grad hawańskich kamieni.

Grad kamieni, świst strzał, krzyki, a po nich noc bezsenna...

* * *

Kilka staj od zamczyska braniborskiego wiadać wśród puszczy ogromną polanę. Na brzegu jej kilka namiotów, na środku przy gruszach kwitnących, jeden purpurowy, ze złotą stannicą u szczytu. Wejście do niego zakrywa wschodnia, wzorzysta tkanina, nad wejściem chwieje się chorągiew państwa polskiego w ciepłym majowym wietrze.

Przez szpary przeświecają ognie świateł, które wewnątrz płoną, struga jasności wypadła przez wejście.

Na granicach łąki stoją dęby, leszczyny i brzozy, dalej las sosen, a wśród nich bieleją nieprzeliczone namioty, które wśród puszczy rozbito.

Cisza w świecie ogromna...

Na wschodzie zlekka rozjaśnia się niebo. Jutrzenka zaranna świeci ogromnym blaskiem, jakby inne gwiazdy zaćmić chciała, jakby była heroldem, który zapowiada jasność dnia. Po ciemnej nocy kilka promieni światła wdarło się na polanę, rysują się pnie drzew, widać konia, choć spętany — osiodłany jednak, stoi, jakby gotowy do boju; widać wielbłąda, którego na podziw Niemców, Mieszko, księżę polski, z dalekiego wschodu sprowadził.

Na polanie pustka, obóz snąc śpi. Jeden człowiek czuwa.

Znamienity to jakiś rycerz, roztropny i mądry wojownik. Nawet w nocy ubrany w koszulkę drucianą, oczy zatopił w oblegany Branibor, którego baszty widać przez konary sosen, prawą ręką wsparł się na koniu, w lewicy ściska ogromny miecz, spowity w grube, gwoździemi wybijane rzeźmienie.

Chrobry ten, dwudziestopięcioletni rycerz, — to Bolesław, syn księcia polskiego Mieszka, zrodzony z czeskiej księżniczki Dobrawy.

Orli ma wzrok, z białego czoła bije męstwo, niemal zuchwalstwo, a przecież z oczu patrzy poczciwość i dobroć, jakby ta twarz, ta postać, ta

zaciśnięta, ogromna pięść mówiła: dobrym jestem i pocziwym, ale tylko dla dobrych i pocziwych.

Włos jego z przodu nad białem czołem równo przystrzyżony, spada z tyłu na zbroję w kosmykach bogatych z pod żelaznej czapki, w której szkłe błyszczą różowy wschód słońca. Na barkach wysokiej postaci otok z niedźwiedziej skóry, płaszcz fałduje się na biodrach, na których widać skórzany pas, cudnie żółtymi blaszanymi kółeczkami strojny, jak to chłopcy w krakowskiej ziemi pasy kować umieją.

Zawrzało coś i zakotłowało koło Braniboru, słysząc krzyki ludzkie i wrzawę wojenną.

Chwycił Bolesław za uzdę konia, ku twierdzy go prowadzi; zatrzymał się z nagłą, bo ku niemu przedziera się przez olchy jakaś postać.

— Co się tam stało?

— Rzecz straszna, dziedzicu. Hawelanie jak burza z twierdzy wypadli, rzeź straszną wśród Niemców czyniąc.

Bolesław zaśmiał się, oczy mu się zaiskrzyły.

— A to zuchy! — krzyknął.

— I ty, Bolesławie... i ty to mówisz?

— Ja!

— Jakto? Wszak my razem z Niemcami ich bijem, przecież wojska polskie razem z cesarzem słowiański Branibor zdobywają.

Bolesław posmutniał.

— Niech nam to Bóg przebaczy! — rzekł cicho.

— Co ty mówisz książę? Walka z poganami, którzy wzgardzili chrztem...

— Z poganami mówisz, walczymy?

— Z motłochem, który nie wierzy...

— My walczymy z braćmi!! — krzyknął Bolesław.

— Co?! Ci poganie?! Oni? Bracia?

— Jedna nasza matka, słowiańska ziemia, jeden nasz wróg...

— Wrogiem zaś wspólnym?

— Jest nasz niemiecki sprzymierzeniec...

— Ty tak mówisz? Wolnać była przecie droga dla twego ojca iść z Wilcami i Lutykami przeciw Niemcom.

Zaśmiał się gorzko Bolesław.

— Gdyby mój ojciec mógł! Gdyby mógł!

— Co mu stało na przeszkodzie?

— Cesarstwo rzymskie, świat cały... Ten świat zachodu, który przed papieżem nas oczernia, który na Polskę w Rzymie najpodlejsze oszczerstwa rzuca.

— Jakto?

— Jeśli pójdę tam, gdzie mnie krew moja woła, nie ocale słowiańskiej nad Łabą braci, a... zatracę swój kraj... polską moją ziemię...

— A więc...

— Z pogromu, z zalewu niemieckiego uratujemy jedno... Polskę.

— Jeśli zaś ta potęgą się stanie, wtedy...

— O co mię pytasz?

— Pójdziem na ratunek ludom słowiańskim, które nad morzem, Łabą, w niemieckich rękach konają?

Bolesław złożył rękę na piersi i rzekł głosem, w którym drgało serce i uczucie wielkie:

— Dajże mi tego dożyć, Wszchemogący Boże!

Z książęcego * namiotu * słyhać cichy jęk, echem jęku zadzwonił płacz niewieści, płacz zbudził rój ludzi, szepty i gwary pod oponami purpury.

Na noszach, zasłanych skórami, leżał bezprzytomny książę polski Mieszko. Siedmdziesiąt lat przeżył, a jednak nie widać sędziwego wieku na jego twarzy, ani jeden włos nie zasrebrzył się w bujnej czuprynie. Dziś twarz jego schorzała, ciężką niemoc na niej widać, oczy zapadły w głąb, na licach czerwone wypieki.

Mieszka trawi febryczna gorączka. Nabawił się jej w obozie, trudy wojny ją zrodziły.

— Biedny rodzic mój! Trawi go zimnica, nie wyzdrowieje...

— Do niego, dzieci! Do niego! — zawołała płacząc żona Mieszkowa, Oda.

Przypadli do łoża synowie Mieszka.

— Tam! Światło widzę wielkie... — szeptał Mieszko — wynieście mnie do słońca, do słońca.

Ujęli synowie łożę polowe i wynieśli je przed namiot.

Uśmiech słaby, jak blask błędnego ognia, zjawiał się na ustach Mieszka.

— Wschodzi... słońeczko wschodzi — szeptał książę.

Oda klęcząc przy łożu cicho płakała.

— Pierworodny mój! dajże głowę, daj!

Przypadł Bolesław do piersi Mieszkowej, ojciec dotknął jego czoła, jakby na ukochanej głowie kreślił znak krzyża Chrystusowego.

— Błogosławże mu Boże...

Wtem przyszyła duszność i niemoc, opadły bezwładnie ręce.

Nieprzytomnym głosem majaczył książę...

— Światło — światło ze wschodu... — wymówił raz jeszcze pierwszy chrześcijański książę polski i skonał.

— — — — —
A na niebie zeszło wielkie, złote słońce, zgasło swym blaskiem zorzę, która na niebie płonęła.

To samo, zaiste, stało się na polskiej ziemi.

Bo gdy zgasła wspaniała jutrznia, zapowiadająca wielkość i chwałę narodu, gdy w obozie pod Braniborem*) zmarł Mieszko, ta dziejów naszych gwiazda zaranna — wtedy zajaśniało słońce: Bolesław.

II.

Opuścił ziemię ojców młodzieniaszek, w daleki świat idzie.

Rzeki przeszedł ogromne, kilkadziesiąt przeszedł potoków. Co kilka mil spoczywa, o chleb ludzi prosi, co las przystaje, aby z kory lipowej nowe łapcie spleść, nanowo obuć nogi.

Dawno opuścił hawelańską ojczyznę, przeszedł przez kraj Sorabów, ujrzał ziemię, gdzie polskim językiem lud mówi. Szedł brzegiem Odry, szedł brzegiem Kłodnicy. Kroku przyspieszył, gdy się dowiedział, że wielki strumień, który widzi przed oczami, to Wisła. Przecie ta Wisła, to cel i koniec jego podróży.

— Co to za kościół?

— Opactwo tynieckie, które wielki król Bolesław postawił.

— Brzegiem Wisły prowadzi droga?

— Dokąd chcesz iść? do Tyńca?

— Nie, nie. Pielgrzymuję do Krakowa.

— Chodź ze mną, chłopcze.

Gdy minęli las i skręt rzeki, przewodnik stanął, wskazał ręką na wschód i rzekł:

— Tam!

— Skalisko i kopiec zielony, najeżony iglicami baszt...

*) Dzisiejszy Brandenburg.

— To Wawel, to modrzewiowe dworzyszczce polskiego króla.

— Dawnoż ten zamek stoi?

— Bóg to jeden wie. Panował tu książę Krak. Praojcowie dziadom, dziadowie ojcom naszym powiadali, że książę okropnego smoka zabił, że córka jego, Wanda, nie chcąc poślubić Niemca, we fale Wisły skoczyła.

— Po przodkach swych Bolesław objął krakowskie dziedzictwo.

— Mieczem i wojną musiał zdobywać własną ojcowiznę.

Długo ziemię krakowską trzymali Czesi.

— Odebrał im ją chrobry Bolesław?

— Podbiwszy Pomorze, przyłączywszy kraj między Odrą i Wisłą do Polski, jako orzeł spadł na Kraków. Zeszłej pełni miesiąca byli tu w Krakowie panami Czesi, władali Śląskiem i Morawą. Dziś śladu po nich nie masz.

— Bądźcie zdrowi, mój ojciec.

— Pilno ci do Krakowa?

— Do króla polskiego mi pilno.

Spiesz chłopiec przez las i pole, a drogę wskazuje mu Wawel. Wyraźnie już widać baszty zamczyska — ścieżka już biała wprost na zamek wiedzie...

Dziwna rzecz, niezwykły widok. Gdy szedł do Krakowa, wyobrażał sobie, że zamek królewski wre i kipi życiem, że tu zastanie rój ludzi,

ciżbę wojska, mnóstwo zbrojnego rycerstwa. A tu, na Wawelu, pustka i martwota, żywej duszy nie masz, jakby wymarł ten zamek.

Jest wreszcie żywa dusza.

Na stokach wawelskich dziewczę jakieś wi-
dać, po darninach zielonych chodzi, po kwiaty
się chyla.

Pospieszył do niej młodzieniaszek. Już miał
zapytać o drogę, gdy... usta z podziwu oniemiały.
Dziewczyna o modrych oczach, o jasnych włosach,
piękna była jak bogini. Strój jej krasny i barwny
jak królowny, w rękę trzyma równiankę bławat-
ków, dzwonek i maków. Kwiaty piękne, ale ble-
dną przy urodzie dziewczyny.

— Coś ty za jeden?

— Lestek się nazywam, z dalekich krajów
idę. W słowiańskiej ziemi za Łabą rodzice moi
mieszkali.

— Jakiż cel twej drogi?

— Idę do króla Bolesława.

Zaśmiało się dziewczątko.

— Mów, czego żądasz od niego, a ja ci w tej
sprawie pomogę.

— Nie, nie. Prośbę, jaką mam do chrobrego
Bolesława, jemu jednemu przedłożę ją żalobę*)
z mego żalu się wypowiadam...

— Gdybyś mi jednak powiedział, pomocną

*) Skargę.

rękę bym ci podała. Imię me Dobrota. Córką jestem polskiego króla.

Cofnął się ze strachu chłopak, słowa powiedzić nie mógł, klęknął i głowę skłonił przed dzieckiem królewskim.

— Wstań!

— Przebacz mi śmiałość moją, królowo...

— Przecie nie obraziłeś mnie, mój chłopcze. Sprawy twej orędowniczką u ojca mego będę. Teraz nie masz go w Krakowie, nad Dunaj w słowacką poszedł ziemię.

— Pusto tu na Wawelu i bezludnie.

— Wszystko co żyje i broń nosić zdolne, z ojcem na wojnę ruszyło.

Zdała od skał za Wisłą, od strony zielonej mogiły Krakusa dolatywało echo rogu.

— Czy słyszysz, królowo?

— Głos leci...

— Rogi i trąby grają.

— Ojciec mój wraca! Ojciec!

— — — — —
Ruch i hałas w mieście. Wybiegło mieszczactwo z domu, rzemieślnicy porzucili warsztaty, radosna wieść leci, że król Bolesław wraca.

Wyszła z pałacu małżonka Bolesława Emnilda, zerwał się z łoża stary ojciec jej, książę pomorski Dobromir i woła na wnuczkę:

— Chodź dziecko moje! Ojciec twój do domu wraca!

Opuściło dziewczę Lestka, do matki i dziada spieszy.

Radosne wieści przez Kraków przelatują.

— Zbił zaciężne niemieckie zastępy!

— Przyhołubił bratni słowacki lud!

— Morawa zdobyta, aż po Dunaj jego panowanie.

— Cześć mu i sława! Cześć!

Huk kotłów, głos trąb słyhać, pułki wojsk do Krakowa spieszą. Swieci się w słońku łuskowa zbroja — tarczownicy królewscy, knechty płatne niemieckie — poprzedzają polskie wojsko. Oto widać pięć tysięcy żelaznych rycerzy, których wystawiło miasto Poznań, dwa tysiące łuskowych żołnierzy i cztery tysiące tarczowników dało Gniezno. Przy polskiem wojsku, którego wyliczać nie podobna, tak wiele go było, idą sławne pułki morawskie. Olbrzymi zwycięski pochód zamyka orszak króla.

* * *

Lestek do podwoi królewskich docisnąć się nie może. Tłum rycerstwa się snuje, panowie w złotogłowy ubrani idą do króla.

— Patrzenie, patrzenie! To książę Jarosław, syn wielkiego Włodzimierza! Mówią, że będzie wesele córki Bolesławowej ze Świętopelkiem, bratem Jarosława, wielkim księciem kijowskim.

— A ten, o czerwonej głowie, to książę czeski Bolesław, szuka u Chrobrego przytułku i pomocy.

Lestek wcisnął się w tłum żołnierzy.

— Czego tu chcesz?

— Idę do króla Bolesława!

— Ty do króla? — zaśmiało się najemne rycerstwo.

— Ustąpcie mu z drogi — zawołała królowna i powiodła Lestka do ojca.

* * *

Tlum rycerzy strojnych w pałacowej izbie...

A na środku sali, na dębowem krześle, mąż wielki...

Zgrzebna na nim koszula, sukmana szara barki okrywa, na głowie krakowska czapka z orłem piórem, u boku ogromny miecz. Nie król, nie rycerz, ale kmięć polski siedzi na tronie.

— Czego żadasz, mój chłopcze?

Chciał mówić Lestek, ale ból okrutny zatałmował mu głos.

Wybuchł wielkim płaczem i upadł przed królem na ziemię.

Przyskoczy! Bolesław do pacholęcia, postawił na nogi i przytulił do piersi.

— Uspokój się! Co ci jest? Czego żadasz?

— Sprawiedliwości i pomsty. — Z ziemi Lutyków do ciebie panie ze skargą idę! Przed twój tron mój żal zanoszę!

— Zło wyrządzono twjej rodzinie?

— Nie rodzinie — o potężny władco. Tam nad Łabą lud mój kona, tam wsie i grody spa-

lone, krzywda ludzka do tronu Bożego o sprawiedliwość i litość woła, ojcowie nasi zabici, a siostry nasze jak bydło w niewolę na targach sprzedawane.

— Kto to czyni?

— Śmiertelny wróg nasz z zachodu poprzyściągł zgubę naszemu plemienu, niewolnikami jesteśmy na ziemi ojców naszych! Wilki, Hawelanie i Soraby mówią, że w bratniej Polsce panuje potężny król. Ty jeden z rąk cesarza oswobodzisz naszą ziemię.

— Chodź Bolesławie! Ojciec mój nie mógł do ciebie przyjść, bo go żołnierz cesarski powiesił za to, że stanął w obronie ogniska rodzinnego, siostry moje zaprzągnięto w jarzmo, aby ciągnęły niemiecki pług. Boże! Boże!

Szmer oburzenia i zgrozy przeleciał zbranym.

Kmieć na tronie pochylił głowę ku ziemi... Nie rzekł ani słowa, jeno w oku łza błyszczą, jeno ręka tak cisnęła żelazo miecza, że żyły na palcach widać...

Długo myślał Bolesław... Zwrócił wreszcie swe pocziwe oczy na Lestka.

— Zostań u mnie. Dom mój niechże ci ojcowską strzechą będzie.

III.

W Wielkopolsce koło Kazimierza w niezmiernej puszczy osiedli pustelnicy. Święty Romuald wyprawił do Polski braciszków: Benedykta, Jana, Barnabę i trzech młodszych pod opiekę sławnego chrześcijańskiego króla Bolesława, bo w całym świecie wiadomo było, że król ten jest żarliwym obrońcą sprawy Krzyża.

Król ofiarował im swój dwór, lecz oni tylko jego dobre serce przyjęli, a osiedli w puszczy, pilnie mowy polskiej się ucząc, do zawodu kaznodziejskiego i apostołskiego się sposobiąc.

Z całej Wielkopolski lud się koło nich gromadzi, a oni go utwierdzają w zasadach wiary świętej, wzamian mowę jego lepiej poznając.

Żywot pelen umartwienia wiodą zakonnicy. Potrawy, które Bolesław przysyła, rozdają między lud, sami chlebem i korzonkami się żywiąc.

Gwiazda poranna błyszczała jeszcze na niebie, gdy z wilgotnej jaskini wyszedł mnich Barnaba, zbudziwszy braci, którzy na łożach z zeschniętych liści i rogoży spali. Nad brzegiem potoka zmówili poranne modlitwy, i wrócili na przy-
marję.

Nowi ludzie przybyli do pustelni.

Na przedzie ich mąż jakiś, dostojności i powagi wielkiej. Dobroć z ócz widać, mądrością

Bóg czoło jego naznaczył. Nie podeszły jego wiek, ale ze zwiędłej twarzy poznasz, że człowiek ten niejedną gorzką łzę połknął, że niejeden ból serce jego ścisnął.

Barnaba zobaczywszy ich, zerwał się z klęczek.

— Biskup Wojciech Sławnik! — krzyknął.

Przypadł do gościa, ukląkł, głowę skłonił do stóp świętego męża...

Imię Wojciecha, słynącego jak świat szeroki, iskrą błyskawicy pustelnię przeleciało, radość niosąc, jaką niesie przyjaźń ze świętymi...

Cała gromada do Wojciecha przypadła, u nóg jego klęczą, kraj szat jego całują...

— Bracia moi serdeczni!

— Ojcie nasz! Ty za życia święty! Wstaw się, ojcie, za nami do Boga!

* * *

Na wyboju skalnym, który jak wielki stół nad potokiem się rozłożył, odprawia biskup Wojciech świętą ofiarę.

Modłom jego towarzyszą dwaj zakonnicy, którzy z nim razem przybyli z dalekich krajów.

Jeden z nich to Radzym, brat Wojciecha, drugi to Eid, biskup Myszneński, który zakonną szatę przyodział.

Szumi las, modlą się ludzie.

Nagle wstrząsnął powietrzem krzyk i hałas. Zagrzmiały rogi, słyhać rżenia koni, las gra rojem ludzi.

— Król idzie! Król!

Z gęstwiny wychylił się król Bolesław. Rzucił okiem na pustelnię... ujrzał modlących się zakonników, stanął nagle i tłumowi żołnierskiemu ołtarz ręką wskazał...

— Z koni! Najświętsza ofiara! Z koni!

Zeskoczył z konia, przypadł król przed ołtarz, rozpostarł ręce i krzyżem na ziemi przed ołtarzem leży...

Biskup Wojciech błogosławi zgromadzonych, a widząc Bolesława leżącego w prochu, rzekł z cicha:

— Niechże tobie błogosławi Wszzechmogący Bóg!

— — — — —
I rzekł rozradowany król Bolesław do biskupa Wojciecha:

— A witajże mi, witaj, miły gospodyniel!

— Od miesiąca dowiadujemy się o twój przyjazd, u granic państwa czekali na ciebie, święty mężu, wysłannicy. W Łęczycy dopadł mię goniec z nad Odry z wieścią, że jesteś; dniem i nocą spieszę na tve spotkanie.

— W grodzie poznańskim rycerstwo cię oczekuje; wierzeje*) naszych chat, dworów i zamków otwarte dla ciebie.

*) Podwoje.

— W domu moim — dodał król — odpoczniesz po trudach żywota. Drugą ojczyzną ziemia nasza ci będzie.

— Za gościnę — odrzekł Wojciech — niechże ci, bracie Bolesławie, Bóg dobry zapłaci. Ale tu rozchodzą się nasze drogi. Idę z bratem mym do Prus.

— Do Prus? W ten kraj ciemnoty dusz i dzikich puszczy?

— Ciemnocie światłość nieść idę, nieść słowo i naukę Chrystusa.

Zasmucił się wielce Bolesław słowami Wojciecha.

— Od kilku miesięcy czekam ja i moi na twoje przybycie; ślub moich dzieci odkładano do czasu, aż ty zjawisz się w kole naszym, a ty chcesz odchodzić...

Zdziwienie i radość zjawiała się na twarzy biskupa.

— Wesele w twoim domu? — zapytał.

— Wydaję Kalinę za knazia Świętopelka, a Dysławę za Hermana, hrabiego Myszen.

— Smutek twój bracie, to mój smutek, radość twoja, to moje wesele. Stanie się zadość twojej woli, wielki opiekunie Chrystusowego Kościoła. Zatrzymało mię szczęście dzieci twoich.

IV.

Jako około pszczelnej królowej rój owadów, tak około królewskiego dworca modrzewiowego w mieście Poznaniu skupia się ogromny rój chat, chałup i domów. Wielki gród poznański — to jeden warsztat, w którym rzemiosła dzięki opiece Bolesława kwitną. W każdym domu przestronne wrota; snąc telegi*) tu codzień przejeżdżają, wwożąc i wywożąc towar; każda ulica wre innem rzemiosłem, od szewców, garncarzy, garbarzy swe miano biorąc. Mieszczanie, których praca wojnie służy, przed innymi cieszą się łaską i opieką królewską. Jedna ulica pancerze wyrabia, druga skórzane tarcze misterne zdobi ze żelaza kutym rysunkiem, trzecia stal szczerą gnie, czwarta rzemień z byczej wycina skóry.

Nie leni się król Bolesław pod ubogą mieszczaną strzechę sam zajrzeć, spracowaną rękę rzemieślnika uścisnąć, nowe ulepszenia broni poraić, do pracy dla matki ziemi go zachęcić.

Za miastem kuźnie, jak piekło dymem kopcą. Tu rozłożyli się kowale i kotlarze. Tu zdala od miasta topią żelazo z rud, tu mieszkają mistrze, którzy z rozmaitych kruszców spiż wytapiać umieją.

*) Wozy.

Dziś wszyscy rzucili pracę, wszyscy spieszą pod grójec królewski w świątecznych strojach.

Król Bolesław ucztę wydaje. Na ulicach miasta stoły zastawione, na rynku poznańskim stoją kadzie piwa, kufy miodu. Wozy pełne jeleni, sarn, żubrów jadą do miasta. Bawi się wszystko, je, pije.

Na ogromną ucztę wezwano każdego. Z rycerstwem brata się rzemieślnik i kmieć. Zaproszono władzyków, chłopów z ziemianek i ratai. Nie wzgardzono nawet czeladzią, którą król wziął w niewolę, z głębi Niemiec do Polski spędził i zaprzął do ciężkiej pracy u wolnego chłopu.

Bo hojnym i gościnnym był Bolesław.

Nic dziwnego, że z całego świata garnęło się do Bolesława rycerstwo czeskie, niemieckie i węgierskie.

Dzięki hojności i szczodropliwości miał Bolesław na dworach królów zagranicznych licznych przyjaciół, miał ich na dworze papieża i u cesarza rzymskiego.

Dziś dzień zaślubin cór królewskich.

Jak kmieć polski, dziewczkę za mąż wydając, gody przez siedm dni wyprawia, tak i król, kmiecyom zwyczajom zawsze posłuszny, przez siedm dni wszystkich raczy.

Takiego przepychu i bogactwa, jak Poznań Poznaniem, nigdy nie widziano. Oczy bolą patrząc na zbroje lśniące, na suknie ze złotogłowi, na drogie kamienie, w jakie ustroił się orszak niewiast i dostojnych panów.

Ogromny strojny korowód idzie z zamku do kościoła poznańskiego, nieprzeliczone tłumy towarzyszą pochodowi.

Pięciu biskupów wstąpiło na schody ołtarza. Na ostatku wszedł biskup Wojciech, brat jego Radzym i uczony opat tyniecki Zdieszko, serdeczny przyjaciel króla.

A tłum na orszak królewski patrzy.

— Patrzcie Dysławę, jako kwiat dorodna!

— Za Niemca król córkę wydaje. Szkoda jej!

— Ma to być rycerz sławny, niczem niepodobny do zbójów z Marchji wschodniej... Mówią, że Chrobry nie chciał się jej woli, jej skłonności serca sprzeciwiać...

— Patrzcie! Patrzcie!

— Królowna Kalina!

— Za nią idzie Świętopelk — ruski mołojec, krasny jak sokół stepowy.

— W oczach królowej Emnildy łzy... dwie córny z domu odchodzą.

— Przy królowej jedzie młody królewicz na wronym koniku.

— Mieczysław, pierworodny syn króla i dziedzic nasz!

— Patrzcie! W orszaku ślubnym, przy boku króla, proste chłopcy jadą, Lutyki z nad Łaby, Borys i Niezamysł...

* * *

Ozwały się kotły, obrzęd święty skończony, pałac poznański zawrzał radością, gędźbą i weselą.

Wszystkie ulice m. Poznania rozbrzmiewają echem, stu lirników, stu gęślarzy śpiewa weselne pieśni. W ogromnych kotłach warzy się jadło i kto syt, pije miód i piwo.

W białych płótniankach zasiadło chłopstwo do stołu długiego na staje, pacholikowie i dziewczki przynoszą starcom jedzenie i miód.

Opuścił komnaty Bolesław Chrobry, wyszły z modrzewiowego dworca pary obie.

Stary kmiecy obyczaj każe gospodarzowi obsługiwać przy stole: nie zapomniał o zwyczaju Bolesław.

Poszedł na przedmieścia, gdzie dla chłopstwa o czarnych spracowanych dłoniach stoły zastawiono.

Starców do jadła król zachęca, kmieciom się dziwym miody w czary leje.

— — — — —
Otwarły się wierzeje dworca poznańskiego. Wyszedł z nich biskup Wojciech, za nim król polski, żona jego, dzieci. Na oczach smutek, żal serce ściska.

— Zostań biskupie — po śmierć pewną idziesz.

— Powiedz, Wojciechu, czemu odrzucasz pomoc naszą, czemu wzgardziłeś wojskiem?

— Po niemiecku mam ich nawracać? Obyczajem Niemców ludy niewierne chrzcić mordem?

— Chrystus każe nauczać słowem świętem i dobrym przykładem — rzekł brat Wojciecha, Radzym.

— Chodźmyż w Imię Tego, który nie mieczem, lecz miłością zawojował świat cały.

Przybyła drużyna do Gniezna, wielkiego już naówczas miasta. Tu biskup Wojciech mszę odprawił. Ochrzczono też w Gnieźnie wielką moc ludu. Sława biskupa wywabiała z głębi puszczy lud polski i resztki pogan opuszczają stare bogi.

Aż do brzegów Wisły odprowadził król biskupa. Lzawe i smutne było rozstanie.

Na falach Wisły kołysała się ogromna łódź, gotowa do drogi. Kazał ją zbudować Bolesław i obsadził trzydziestu ludźmi, biegłymi w żegludze.

Na łódź wsiadł biskup Wojciech, brat jego Radzym i ksiądz polski Bogusz. Rybak odwiązał linę, plusk wiosel zagrał na wodzie i łódź spłynęła z falą modrej Wisielki. Długo stał Bolesław nad brzegiem, patrząc za apostołami.

V.

Łódź z misją apostołską płynie Wiselką, mija osady ludzkie, chaty nad brzegiem bielejące, puszcze bezludne i moczary, w które rzeka się rozlała. Po kilku dniach podróży ujrzeni żeglarze miasto jakieś, gromada chat i domów rozłożyła się nad brzegiem ramienia Wisły.

— Cmę mieszkań ludzkich widać...

— To kres ogromnego państwa Bolesława. —

— To grodno królewskie Gdańsk.

Łódź przybiła do brzegu. Zwiedzili się o apostołach ludzie i tłumy ludu wyległy na spotkanie. Biskup udał się do miasta. Jak w Gnieźnie tak i tu chrzcil tych, którzy w pogaństwie trwali, umocnił w wierze lud, który dawno już za Mieszka był ochrzczony. Poczem wrócił na okręt i popłynął dalej.

Domy gdańskie maleją, a na przeciwnej stronie szarzeje coś na północy, chwilami białością błyszczą, to znowu w barwę stali się zmienia.

To morze... Płaszczyzna bez granic, woda bez końca. Biskup rozkazał żeglować na wschód. Pusty, bezludny, jakby wymarły kraj, wydmy tylko piaszczyste, pagórki dzikie, urwiska skalne.

O zachodzie słońca przybiła Łódź do brzegu, na wydmie piaszczystej rozniecili żeglarze ogień i przy nim spokojnie noc spędzili.



Znamienity to jakiś rycerz, roztropny... (str. 11)

BIBLIOTEKA
BN
NARODOWA

Słońce stało już wysoko na niebie, gdy na drugi dzień dojechali do celu podróży: ziemi pruskiej.

Nadzieja i radość na licach księży, jakby po triumf, po zwycięstwo tam płynęły.

Przybiła łódź do brzegu; wyszli na ląd trzech księży, poczem Wojciech bezzwłocznie rozkazał żeglarzom wracać do Polski. Wioślarze chcieli pozostać, być apostołowi ucieczką i obroną, ze łzami go o to prosili. Lecz biskup oparł się ich prośbom, więc ucałowali jego ręce, wsiedli na statek i odbili od brzegu.

Na ziemi pruskiej zostało trzech ludzi...

Kilka dni spoczywali trzech księży nad brzegiem morskiej odnogi. Zatrzymali się tu, aby odzyskać siły stargane podróżą i niewyczasem, aby modlitwą i rozmyślaniami przygotować się do pracy.

Pachole jakież wypatrzyło obcych i ze zdziwieniem pieśni śpiewanych słucha.

Za kilkanaście pacierzy przyprowadziło ze sobą mnóstwo ludzi. Otoczyli oni rozmodlonych księży, z gromady wystąpił starzec i zapytał:

— Coście wy za jedni? Pocoście tu przybyli?

— Oto biskup Wojciech Sławnik! — odrzekł ksiądz Bogusz, który znał pruską i litewską mowę.

— Czego chcecie od nas?

— Chcemy uczyć was prawdziwej wiary, chcemy, abyście poznali wielkiego, jedyne Boga i przyjęli chrzest.

— Ha! ha! ha! — zaśmiał się jakiś władyka — Chrześcijanie jesteście? Znamy was, znamy!

— Co? Znasz ich? — pytał tłum.

— Znam. To Niemcy. Oni ochrzcili Smolińców nad Mżą, tak ich ochrzcili, że już ani jednego Smolińca na świecie nie masz. Wytrzebili, wymordowali, wysiekli w pień...

— Myśmy nie Niemcy! — zawołał ksiądz Radzym.

— Nie kłam! Niemiec jesteś!

— Idźcie precz z naszej ziemi. Zbrodnią was czuć i krwią.

— Wymordować nas chcecie!

— Nie mamy broni! — wołał Radzym.

Sędziwy jakiś kmicz przypatrzył się pilnie księżom i rzekł:

— A prawda! Bez broni do nas przyszli.

— To nie Niemcy. Wszak słowiańskim językiem do nas mówią. Dobrze im z oczu patrzy.

Wtem do brzegu przybija łódź, z której wysiadło kilkunastu rybaków.

— Co się tu dzieje?

— Co to za jedni?

— Obcy ludzie. Wypierają się, jakoby byli Niemcami.

— Niemcy? Precz z naszej ziemi!

— Jedźcie do ojczyzny waszej!

— Jeśli wrócicie, czeka was śmierć!

— Nie chcemy niemieckiej wiary! Nie uwierzymy w niemieckiego Boga!

— Wepchnięto apostołów na łódź, plusnęły wiosła, rybacy sterują na pełne morze. Z brzegów dolatują przekleństwa i złorzeczenia rozjątrzonego przez kapłanów motłochu.

— — — — —

I począł biskup Wojciech rozmyślać, w jaki sposób trafić do zatwardziałyh serc pogańskich, jak je zjednać dla wiary Chrystusowej.

Tak rozmyślając, szli biedni rozbitkowie brzegiem morza, nie wiedząc dokąd idą, gdzie ich ta drożyna wśród wydm morskich wiedzie.

— Dobry to, spokojny i cichy lud — rzekł Radzym.

— Kapłani jeno, zazdrośni o swą władzę, burzą pospólstwo.

— Strach przed nami rozniecają ci, którzy doznali krzywd z rąk Niemców.

— Gdy zabłyśnie światło prawdziwej wiary, zniknie ich niechęć do nas jako sen.

Pocieszali się wzajemnie, choć ze serc znikła otucha, a rodził się żal.

Kilka dni błakali się w dzikiej puszczy, osłabli zupełnie z głodu. Wojciech opuścił braci, idzie w dziką puszcę, wyciąga rozmodlone ręce do nieba, usta szepcą gorącą prośbę do Stwórcy.

— Głód, Boże Wszechmogący!

Wtem w dąbrowie zielonej rzecz dziwna się dzieje.

Przecie to wiosna, wszak to dopiero koniec kwietnia, a już grusza leśna ledwie puchem jasných pączków obsypana.

I oto rozwija się drzewo — kwiaty się białą, grusza jako biały bukiet rozkwitła...

Przekwitło drzewo, szypułka kwiatu rośnie, pęcznieje, widać zielony owoc...

— Boże wielki!

Złocą się i czerwienią owoce na drzewach, na krzakach maliny, na mchach leśnych złote rydze...

W czasie jednego pacierza natura przeżyła wiosnę, lato i jesień.

Apostołowie głód swój zaspokoili.

Idąc przez las, zaczęli księża śpiewać psalmy Dawidowe; ranne godziny przeszły na pieśniach i modlitwie.

W jednym miejscu dziwny zobaczyli widok.

Pole ogromne kamieniami zewsząd otoczone, wśród dębów posągi jakies widać, głazy rzeźbą i barwą strojne, nad brzegiem morskim pagórek wysoki, na nim drzewa odwieczne rosna, pod drzewami znowu posągi.

Dziwowali się cudom tym apostołowie, usiedli tu na głazach, że zaś słońko mocno grzało, postanowili odpocząć, strudzone nogi wyprostować, nowych sił na nowe trudy nabrać.

Okropnie zmęczeni posnęli.

Zbudziła ich wrzawa przekleństw i złorzeczeń. Gdy ksiądz Radzym się ocknął, nie mógł ruszyć

ani ręką ani nogą, bo był powrozami skrepowany. Rzucił okiem na towarzyszów. Boże! Wojciecha w pęta wiąza, chłop jakiś krępuje powrozem księdza Bogusza.

A tłum wre wściekłością i oburzeniem.

— Świętości hańbią! To nasze pole Romowe!

— Kto z niewiernych przekroczy między świętego pola, winien jest śmierci!

Porwano związanych apostołów i wywleczono na wzgórek.

Wieść o pohańbieniu pola Romowego rozbiegła się między ludem, wywołując wśród pogan zgrozę i strach przed pomstą znieważonych bogów.

Przybył zbrojny hufiec, na czele którego stał Prusak, pragnieniem zemsty przeciw polskim misjonarzom dyszący. Wojował on niedawno z Bolesławem, w bitwie z Polakami zginął brat poganina, nadewszystko mu miły.

— Otó zabójcy twego brata! — wołał tłum.

— Śmierć im! Śmierć!

— Kapłan pruski chwycił włócznię i przebił nią pierś świętego apostoła.

Mord ośmielił tłum, rzuciła się czerń, nowe rany męczennikowi zadając. Zbladło lice Wojciecha, z otwartej piersi bucha krew, a zsiniałe usta szepcą modlitwę.

Rzucili się kapłani na konającego i siedm włóczni w pierś jego wbili. Opadł święty ku ziemi i oddał ducha Bogu słowiański apostoł...

Skoczył żołnierz i odciął głowę biskupa Wojciecha.

Ziemia pruska zroszona była krwią męczeńską.

Widok skrwawionych zwłok zrodził strach. Nie pomogły szczucia kapłanów, cofnęła się gromada, złość stajała i choć judził wróżbita, towarzyszów biskupa nie zabito.

Wsadzono księży na łódź, zaopatrzono w żywność, dano wiosłarzy, aby ich z powrotem do Gdańska zawieźli. Ciało zabitego męczennika zostawiono na brzegu.

— Bolesław je wykupi.

— Zapłaci za wydanie ciała sowite pieniądze.

— Wymorduje nas, wywiesza Bolesław!

— Ulituj się nad nami, boże Pejato!

Bolesław nie mścił się na Prusakach. Płakał król gorzkimi łzami, a jednak wojska nie posłał — nie chciał rozlewu krwi.

Wysłał stu zbrojnych mężów, którzy zabrali ze sobą trzosa pełne złota. Przybyli na pruską ziemię i o ciało świętego pytają. Poprowadzono rotę polską nad brzeg morza, gdzie przy ujściu rzeki ujrzeli rzecz niesłychaną.

Nad zwłokami męczennika usiadł biały orzeł; królewski ptak strzeże zwłok świętych przed drapieżnym ptactwem, broni przed człowiekiem złym i dzikim zwierzem.

Zerwało się z ziemi orle białe, wzbilo się w powietrze, rozejrzało po świecie i w stronę miasta Gniezna leci.

Bolesław złożył zwłoki Wojciecha w kościele w Trzemesznie na czas, dopóki nie stanie grobowiec w Gnieźnie. Gromada biegłych w złotnictwie rzemieślników buduje w Gnieźnie grób. Zrobiono go ze złotych blach, bo polski król nie szczędził drogiego kruszcu, aby wielkie i wspaniałe dzieło doprowadzić do skutku.

Stało wreszcie, i biskupi złożyli apostoła w złotym grobie. I spodobało się Bogu zsyłać łaski na ludzi, którzy modlili się u trumny męczennika.

Jak długi i szeroki świat, leci wieść, że w kościele gnieźnieńskim chromi wstają, ślepi wzrok odzyskują, że tam płacz w radość się zmienia... Przyleciała wieść do Rzymu, a Sylwester II policzył apostoła słowiańskiego w poczet świętych.

VI.

Powróciło z Rzymu poselstwo, które król wysłał do młodzieńczego cesarza Ottona III. Na czele poselstwa stał uczony opat tyniecki i dyplomata bolesławowski Stoigniew, mąż sławny z rozumu i zręczności, chłop mowny, a tak matactw niemieckiej dyplomacji nawykły, tak kłamstwem na kłamstwo odpowiadający, że nauczycieli swoich w kłamstwie, Niemców w tyle za sobą zostawił.

Przynieśli wieść, że cesarz wybiera się do Polski.

Bolesław znał dobrze przyczyny, które wiodły Ottona do Polski. Nie ulega wątpliwości, że chęć pomodlenia się u grobu słowiańskiego męczennika w znacznej mierze spowodowała tę podróż. Chciał cesarz złożyć hołd pamięci przyjaciela swego i doradcy, którego świętobliwość czcił i szanował świat cały.

Wiodła tu Ottona wieść o cudach, jakie się w Gnieźnie przy trumnie świętego działały, o łaskach, jakie modlący się tam ludzie za przyczyną świętego Wojciecha otrzymywali.

Ważne to były pobudki i przyczyny, ale nie najważniejsze.

Zamysł podróży był ściśle związany z młodzieńczymi planami cesarza, z marzeniami, jakie snuła jego wyobraźnia i dusza. Otton chciał osiąść w Rzymie na zawsze, uczynić Rzym stolicą swego

państwa. Aby te marzenia w czyn zamienić, potrzeba mu było na północy spokoju, trzeba było przyjaźni ościennych państw i ich władców. — Chciał więc zawrzeć sojusz z potężnym Bolesławem, uwolnić państwo od jego najazdów, mieć w nim przynajmniej obojętnego sprzymierzeńca, jeśli nie sojusznika, któryby w potrzebie stanął w obronie świętej rzymskiej monarchji... Że to nie była pielgrzymka pokutnicza, dowodzi przepych, z jakim się cesarz do Polski wybierał. Szła z nim ogromna rzesza rycerzy niemieckich, panów i biskupów.

— Idę tam, kędy nie postąpiła nigdy noga starożytnego Rzymianina! — mówił Otton żegnając Rzymian.

Bolesław powitał cesarza na ziemi polskiej z wielkim przepychem.

Przyjmował Ottona tak wspaniale, jak wypadało przyjmować w swym domu cesarza i króla. Podziwu godne cuda sprawiał Bolesław na cześć jego przybycia. Na rozległej równinie uszykował najprzód rycerstwo rozmaitej broni, a dalej drużyny pańskie, jakby chóry jakie. Wszystkie domy urozmaicał błyskot szat w rozmaitych barwach. A nie bylejaka była tam różnorodność strojów, bo za panowania Bolesława każdy rycerz i każda z kobiet dworskich używała bławatu zamiast wełny, futer nie noszono bez bławatu i złotogłowia. Złoto było w owych czasach w powszechnem użyciu.

Nad rzeką Czerną, która do Bobra wpada, w mieście Ilwie, spotkał się Bolesław z cesarzem.

Przyjaźnie rozmawia cesarz z Bolesławem, zbratanie widać między rzymskiem a polskiem rycerstwem. Zdumione oczy cesarza patrzą na rycerskie rotę w dwa wielkie szeregi rozwinięte, na przepych, który roztoczono.

Brzegi rzeki zasypane ludem, tłum wita okrzykami monarchów, dziewczęta rzucają pod stopy władców kwiaty polne. Co wieś, nowa niesie się gędzba, muzykanci złączyli się w gromady, grają wyuczone pieśni, huczy duda, obok niej słychać ligawkę, gęśl, róg, fujarkę, kobzę, cymbał i miedzianą obręcz, w którą mistrz bijakiem w rytm uderza. Wielki orszak zdąża na północ do Gniezna, tłum rycerzy i panów przejeżdża przez lasy, sioła i miasta.

Gdy zabielały domy Gniezna, gdy wśród drzew ukazała się kopuła kościoła gnieźnieńskiego, zeszedł Otton z konia, zdjął z nóg obuwie i szedł bosą nogą do miasta.

Przez małe, wąskie okna słabe światło wdziera się do kościoła. Bolesław Chrobry wysłał był biegłego w malarstwie mistrza do Italji, aby sławnym świątyniom się przypatrzył i równie pięknym dom Boży w Gnieźnie zbudował. Widział uczony mistrz bazylikę Santa Maria i pięciosałkowy kościół św. Pawła w Rzymie, widział kościoły w innych miastach włoskich i wrócił do domu, aby się pilnie zabrać do roboty. Buduje w Gnieźnie wielki kościół, ściany jego wspiera na szeregu marmurowych kolumn, nad kolumnami

błyszczy się szereg świętych obrazów, nad obrazami patrzą na jasny świat wąskie okienka. Mistrz pokrył kościół kratą ogromnych belek dębowych, pomalował je złotem, lazurem i czerwienią, we wnękach głębokich złożył Pana Jezusa i wszystkich świętych sztuką wielką w mozaice. Błyszczy się kościół złotem.

Wielkie i wspaniałe twory mistrzów złotniczych wnieśli mularze do świątyni Pańskiej. Nad grobem świętego Wojciecha zawieszono wielki złoty krucyfiks, płyta gwiazdami brylantów się iskrząca, stroi stopy grobu świętego. Niezmierne bogactwa świadczą o czci, jaką ma Bolesław dla zwłok Apostoła.

Mistrz oglądał we włoskich kościołach dziwny zaprawdę instrument; z rozkazu króla buduje takie same dziwo w gnieźnieńskiej świątyni.

Umyślny na to trzeba wystawić budynek. W instrumencie tym nie ludzie, jeno piszczałki same grają. Przy kościele stoi wybudowany młyn wodny; kaskada wody pcha powietrze w piszczałki, zmyślny przyrząd puszcza parę w mosiężną fujarkę, lub też powietrze od niej odcina. Piętnaście piszczałek odlano z miedzi, każda ma osobny klawisz, tak ogromny i ciężki, że zaledwo jeden człowiek poruszyć go może, piętnastu artystów siedzi przy instrumencie i gra. A lud słysząc nieznaną mu muzykę, ze zdumienia i podziwu wyjść nie może.

* * *

Wyszedł przed kościół biskup Unger w złotych szatach, dał Ottonowi ucałować patynę, na której wyryto obraz Zbawiciela i prowadzi rzymskiego cesarza do gnieźnieńskiej świątyni. Dwieście świec jarzy się naokoło grobu św. Wojciecha, morze jasności otacza trumnę męczennika, gorąco bije od światła, zapach płonącego wosku miesza się z dymem kadzideł.

Upadł Otton przed grobem świętego i aby zjednać sobie łaski Chrystusowe, błagał w gorących łzach Jezusowego męczennika o wstawienie.

Po modlitwach zaczął się szereg uczt i zabaw rycerskich.

Jak przyjmował cesarza Bolesław, gdybym opowiedział, nikt mi nie uwierzy i nikt tego opisać nie jest w stanie.

Wiedząc o wielkiej potędze Bolesława, przekonawszy się naocznie o niezmiernych bogactwach ziemi polskiej i jej władcy, z podziwu Otton wyjść nie mógł, — mówi kronikarz niemiecki Thiethmar, który był z cesarzem w Polsce.

Zwoławszy patrycjuszy rzymskich i kardynałów, rzekł cesarz rzymski:

— Na koronę państwa mojego! Przecież to, co widzę, jest większem od wieści i sławy, jaka uszu moich doszła!

I naradziwszy się ze swymi dostojnikami, wobec wszystkich rzekł:

— Zaiste, nie jest rzeczą właściwą, abyśmy męża tak wielkiego, jakoby jednego z książąt wodzem albo hrabią mianowali, lecz trzeba go na tron królewski wyniesionego udostojnić diademem.*)

Cesarz rzymski zdjął z głowy koronę. Szczęrem złotem się ona świeci, błyszczy osadzonemi w niej perłami i obrazami wykonanymi z emalji.

I włożył cesarz Otton na głowę Bolesława monarszy diadem jako porękę przymierza i przyjaźni. I dał mu w podarunku gwóźdź, którym Pan był do krzyża przybity, za co Bolesław jako wzajemny dar, wręczył mu ramię św. Wojciecha. I tak wielka w tym dniu złączyła ich miłość, że cesarz ustanowił Bolesława bratem i współrządcą cesarstwa, mianował go przyjacielem i sprzymierzeńcem narodu rzymskiego.

Bolesław Chrobry wysoce wylew serdeczności ceni i na gładkie słowa grzecznie odpowiada. Gdy jednak senatorowie rzymscy złote słowa prawią, ksiądz Zdieszko ciągle i ciągle o czyn woła... domagając się uwolnienia polskiego kościoła z pod wpływu cesarskiego, w ulewie kwiecistych słów dając do zrozumienia, że tu o namacalną rzeczywistość chodzi.

I stało się zadość woli Zdieszka, bo się stać musiało.

Najważniejszym więc zdarzeniem uroczystości gnieźnieńskich było uwolnienie polskiego kościoła

*) Korona królewska.

z pod wpływu i jurysdykcji*) niemieckiej. Dotąd arcybiskup w Dziewinie nad Łabą był zwierzchnikiem wszystkich rzymskich w północnej Słowiańszczyźnie kościołów. Bolesław wymógł na Ottonie ustępstwo pierwszorzędnej wagi. Duchowieństwo miało ogromny wpływ na wszystkie dziedziny społecznego i politycznego życia, to też oderwanie biskupstw polskich od metropolji**) dziewińskiej rozpoczyna epokę prawdziwej niezawisłości państwa polskiego. Tę zdobycz należy przypisać potężde Bolesława i zręczności jego dyplomatów.

I oddał cesarz Otton wszystko, co w sprawach dostojeństwa kościelnego należało do cesarza, Bolesławowi i jego następcom nietylko w Polsce, ale i w pogańskich krajach, które były lub w przyszłości miały być zawojowane. Ugodę tę papież Sylwester zatwierdził przywilejem.

I niezwłocznie ustanowił cesarz arcybiskupstwo w Gnieźnie i poruczył je bratu św. Wojciecha, Radzymowi i poddał jego zwierzchnictwu biskupa kołobrzeskiego, krakowskiego i wrocławskiego, wyjąwszy Ungera, biskupa poznańskiego, który jeszcze jakiś czas metropolji dziewińskiej ulegał.

Zasiadło rycerstwo z monarchami do uczy, cały tydzień trwały biesiady, grała gędzba, lało się wino, sprowadzane z krańców świata.

*) Zwierzchności.

**) Miasto zwierzchnicze.

Cesarza otoczono mężami, którzy z nauki wszelakiej słynęli. Przy Bolesławie naprzeciw Ottona siedzi Zdieszko, opat tyniecki, o rzymskich pisarzach z nim mówiąc, po lewicy Stoigniew opowiada mu cuda o mocy cesarów Rzymu. Dziwował się Otton wielce mądrości opata tynieckiego, nie spodziewał się, żeby tu byli ludzie tak z pisarzami Romy obeznani.

Ze zdumieniem dowiaduje się Otton z jego ust, że on i poezję grecką, zna doskonale. Gdy Otton usłyszał mowy Demostenesa*), zapytał go zdziwiony:

— Skąd ty wiesz o tem wszystkim?

— Pracą własną zdobyłem.

— W Niemczech i Italji wiemy o poetach Romy, o Grecji zaś cicho, jakby jej poeci nigdy nie istnieli.

— My, Słowianie od was bogatsi, z dwóch stron światło do ziemi naszej idzie.

— Gdzież ty Demostenesa i Platona**) poznałeś?

— Dwa lata w bibliotekach w Bizancjum przebyłem.

Cesarz otworzył szeroko oczy...

— Jedź ze mną do Rzymu, arcybiskupem cię uczynię.

— Nie mogę, wielki władco. W Tyńcu mnichem zostanę.

*) Mówca grecki.

**) Filozof grecki.

— Opuść Polskę, osiadź przy mym boku w Rzymie!

— Ziemi mej nigdy nie opuszczę.

Gdy więc opat tyniecki prośbie odmówił, cesarz Stoigniewa za światło i wymowę, grabią rzymskiego cesarstwa mianował.

Dzień za dniem sływa na biesiadach.

Izby dworca gnieźnieńskiego ozdobiono we wschodnie tkaniny, na podłogach rozesłano kosztowne sukna. A co tylko cesarzowi w oczy wpadło, co tylko wspaniałością podziw u gości zdobyło, wszystko to Bolesław każe zdejmować, rycerstwu i cesarzowi oddaje.

Miał Bolesław drogocenne puhary, dzbany do wina i naczynia stołowe — to wszystko, gdy zeszło ze stołu, każe nieść do skarbcza cesarskiego. Złote i srebrne misy, czary i noże, rogi do picia oddano Ottonowi, nie jako dań książęcą, lecz jedynie dla okazania mu czci.

A wreszcie i dworzan obdarzył król tak wspaniale, że odtąd miał w nich największych przyjaciół. Z tak licznego tłumu ani jeden ciura nie wyszedł z Polski bez podarunku.

Nadszedł wreszcie kres uroczystości i cesarz wybrał się z powrotem w drogę. Towarzyszył mu Bolesław ze świetnym dworem. Aż do Magdeburga odprowadził król cesarza. Arcybiskup magdeburski wyszedł w złotych szatach na monarchów spotkanie, przed jego obliczem pożegnali się dwaj władcy, rozstając się w pokoju i zgodzie.

Niedługo żył Otton, zgasł w dwudziestym drugim roku życia. A po jego śmierci powstał w Niemczech zamęt wielki. Na przedwczesnie wygasłym cesarzu wygasła dynastja saska, rozpoczęły się teraz kłótnie, spory i zatargi książąt niemieckich.

Najbliższym krewnym i głównym kandydatem do korony był książę bawarski, Henryk Kulawy. Na niego też wreszcie przeszła korona cesarska.

VII.

Wieść, że Bolesław Czechy z Polską połączył, wieść, że na granicach Niemiec wielkie państwo rośnie, pogłoski, że Bolesław Chrobry, nie pytając o zdanie i zgodę niemieckiego cesarza, wysłał posłów do papieża, prosząc o zatwierdzenie swego stanu posiadania, o królewską koronę, napęliła żalem i zgrozą niesłychaną serce cesarza Henryka.

Dowiedział się cesarz przez szpiegów, że z listami do Rzymu mają iść zakonnicy z kaziemierzowskiej puszczy.

Nasłał na nich zbójów, którzy zakonników wymordowali, ale Barnaba z listami królewskimi i ze skarbem, który Bolesław dla św. Piotra złożył, zemknął.

Polecieli żołnierze w lasy, — ślad przepadł za Barnabą, przyniósł goniec do cesarza wieść, że Barnaba do Włoch spieszy...

— Do grojców i miast konnych posłać trzeba. Niechże pilnują dróg, niech szpiegów rozpuszczą.

W przesmyku Brenner kilku zbrojnych ludzi w szalasię siedzi, drogi pilnuje. Kilkanaście dni pilnują, wreszcie o północy zbudził tabor pacholek, wołając:

— Jest! jest!

Sześciu ludzi spadło na Barnabę, zbójca uderzył go kijem w głowę, krew oblała ciężkie zawiniątko. Rozerwali worek.

— Złoto! Niezmierny skarb!

— Listów nie widzę!

— Pismo daj!

Rzucili się na zakonnika i wydobyli zaszyte w habit dwa pergaminy.

Pachołkowie przyprowadzili jeńca do cesarza i oddali pergaminy i worek ze złotem.

Henryk kazał wrzucić Barnabę do ciemnego lochu; rozradował się wielce, gdy przeczytawszy listy, poznał zgubne dla cesarstwa Bolesława zamysły.

Poznał cesarz, że najrozumniejszą rzeczą będzie wyprawić do Bolesława posłów z wieścią, że zgodzi się i przyzwoli na panowanie polskie w Pradze, jeśli Bolesław ziemię czeską przyjął zechce z łaski cesarza i wiernym będzie jego sługą. Inaczej zaborczym zamiarom Bolesława stawi opór z bronią w ręku.

A poselstwo cesarskie wyprzedziła wieść, która Bolesława żalem i rozpaczą przejęła, zbrojne chłopstwo gniewem zapaliła.

— Księża wymordowani!

— Listy przejęte! Świętopietrze zrabowane!

— Kto to uczynił?

— A któżby? Ten, czyja w tem korzyść — cesarz!

Przyszło poselstwo niemieckie do Pragi, — w izbie na Wyszehradzie*) Bolesław je przyjmuje.

*) Zamek królewski.

— Czego chcecie? — pyta król polski.

— Jako lenno i dar cesarza otrzymasz zdobytą czeską ziemię!

Przyjdź i upokórz się!

Wiernym cesarza sługą musisz być, jeśli chcesz w Czechach panować. —

Wzburzyło się zbrojne chłopstwo, krew w wojsku zawrzała. Wszyscy patrzą na Bolesława, co on posłom odpowie.

Bolesław nie odrzekł nic. Tylko stojący obok króla opat Zdieszko, zbliżył się do przywódcy poselstwa, w oczy mu spojrział, długo kiwał nad nim brodą i rzekł: — Ty capie!!

VIII.

Wojna. Oddawna wisiała ona w powietrzu, jako w parnym słonecznym dniu wisi nad światem burza i pioruny. A wojna ta wybuchła na kilku miejscach naraz, jako pożar nagle na strzesze wybucha.

W pokoju Bolesław nad wojną pracował jako gospodarz mądry, który o głodach zimy rozmyśla w czasie dostatków jesieni; przyszły gmach wojny wybudowała w Czechach i w Polsce jego przezorność, w Niemczech jego pieniądze. Nim przyszło do wojny, rozrzucił skarby po całym cesarstwie. I jakby na dany z Pragi znak, połowa cesarstwa przeciw cesarzowi powstaje. Cesarz musi uśmierzać bunt w Austrii i Bawarii, goreją tam miasta, giną ludzie, a Bolesław sam korytem Łaby w cesarskie dzierżawy spieszy. Nim cesarz na Bolesława uderzy, musi najpierw w kraju zgnieść powstanie.

Myślą wielkiego króla Bolesława było wszystkie ludy słowiańskie na wschodzie cesarstwa niemieckiego w jedną zlutować potęgę.

W żelazną wiąże całość pokrewne ludy; niechże każdy z nich zachowa swój język, swoją pieśń, swoją wiarę, swój zwyczaj, niechże na wewnątrz kwitnie wolność i swoboda, ale na zewnątrz w obliczu wroga, niech różne ludy we wspólnym spiżowym staną szeregu, aby bronić swych oj-

czystych zagród, swej słowiańskiej domowizny. Oto królewicz Mieszko do złączenia się wszystkich Słowian nawołuje, oto woła Bolesław Chrobry przez usta swego syna:

— Pomnijmy na wspólną naszą krew, za-
przestańmy niezgód, a połączeni razem, wszystkich wrogów pokonamy.

Wstała myśl i jak błyskawica po Słowiańszczyźnie przeleciała. Przy Bolesławie, który już dziś połowie narodów słowiańskich przewodzi, staje rycerstwo czeskie, polskie, słowackie, łużyckie, „przesławne pułki“ morawskie, wszystko to spieszy pod jego chorągwie, aby z odwiecznym ciemiężycielem rozpocząć zwycięski bój.

Bardziej od wojny, bardziej od złupionych niemieckich miast, wieść o słowiańskiej unji cesarstwo przeraża. Cesarz wszystkie wojska gromadzi, wszelkich bez wyboru środków używa, aby straszliwej zmorze przyszłości w poprzek stanąć. Zgoda buduje! — A więc aby runął zamysłów gmach „gada jadowitego“, jak Bolesława Niemcy nazywali, trzeba wzniecić niezgodą między Słowianami.

Najłatwiej poszło cesarzowi z Wilkami i Lutykami; tam oddawna Niemcy wodę mąciły, kłócąc ze sobą dzieci jednej matki, aby tem łatwiej nad rozdwojonemi panować. Pod wpływem niemieckim runęły tam odwieczne prawa, nowy obyczaj teraz panuje, równi niegdyś kmiecie w jarzmo zaprzągnięci. Starszyznę połabską pouczyło

prawo niemieckie, że żołnierz ma przewodzić nad rybakiem, bartnikiem i rolnikiem. Niedawno temu lud połabski prawa własności nawet nie znał, ziemia, las i barć pszczelna była własnością wspólną, własnością niczyją i własnością każdego; wszystkich żywiła ziemia-rodzicielka. Wszechmogący Jesse*) wszystkich zarówno darami obsypał i nie było w Słowiańszczyźnie sług i panów. Przyszedł cesarz i wojowników połabskich nad lud wolny wyniósł, slaktami ich uczynił.

Do szlachty połabskiej sfera cesarskich szczerwaczy dziś spieszy, podjudza przeciw Bolesławowi, rozdmuchuje nienawiść przeciw polskiemu władcyce.

— Pod jego panowaniem pójdziecie w chłopy, — mówi wysłannik monarchy do lutyckiego edela.**)

— Jako dziad twój, tak i ty chłopem będziesz.

— Przewodźcie kmieciom waszym, z łaski cesarza.

— Bolesław na wasze przywileje zamach czynił

— Głosi, że rycerstwo jest po to, aby mienia chłopą strzegło.

— Kmiecia serdecznie miłuje, słowem zacnem go darzy.

*) Bożek pogańskich Słowian.

***) Szlachcica.

— Jest opiekunem włościanina, białogłowy
biednej i każdej chudziny. Sprawę biednego roz-
waża tak samo, jak bogacza.

— Kocha go uboga czerń, z radością na spot-
kanie bieży.

— Dziś chce ziemię po Łabę zagarnąć!

— Z pana sługą cię uczynić!

— Parobkom waszym służyć będziecie!

— Co wam dał cesarz, odbierze polski król!

— Gdy Niemcy „jadowitego gada“ zmoją,
dukami*) i hrabiami was Henryk uczyni.

I przysięgli slahtowie lutyccy dozgonną wier-
ność cesarzowi, poszli do jego stolicy, ugięli kark
pod jego stopy. Zapłacili wolnością ludu za
własne przywileje, za władzę nad lutyckim kmie-
ciem.

Byli wiernymi sługami cesarza, każdy krok
Bolesława śledzą, o wszystkich zamiarach pol-
skiego króla donoszą. Przynoszą jednak wiado-
mości tak ponure, tak wrogie, że cesarz Hen-
ryk mdłości dostaje, straszliwa kolka bardziej,
niż kiedykolwiek daje się we znaki.

Henryk zwrócił wzrok swój na czeski lud.
Słudzy jego prawią kmieciom czeskim o niepod-
ległości narodu, obiecują wolność, zrzucenie „ja-
rzma“ polskiego doradzają. Kto rozumny, zaśmiał
się im w oczy, ale byli i tacy, którzy zawsze
z odmiany księcia radzi.

*) Książętami.

Zwołał cesarz niemiecki Sasów, Bawarów i Ostfranków na koniec sierpnia, kiedy zebrane zboże obfitej żywności wojsku dostarcza. Ze Saksonji mają wojska wyruszyć na polskie dziedziny. Cieśle gotują łodzie na Łabie, aby wojsko za rzekę przepawić. Dowiaduje się Bolesław przez tajnych przyjaciół, co się nad Łabą dzieje, opuszcza Pragę i szybko pospiesza do Łużyc nad Łabę.

— — — — —

Znowu daremny cesarski trud, znowu gorzkie rozczarowanie i serdeczny żal. Przybył Henryk nad Łabę, u stóp jego rój nowo wyciosanych łodzi, wsiąść jeno i w Słowiańszczyznę wpaść.

— Co to?

Roi się coś na drugim brzegu i kotłuje, nad brzegiem Łaby konnica piaski przebiega; między pułkami piechoty chorągwie barwne się jaskrawią. Wojsko ogromne...

— Bolesław! Bolesław!

— Przewidział!

— Przeczul zamiary!

I cesarz nagle cofa się na południe.

Przy pomocy Oldrycha i Jaromira, wygnanych książąt czeskich, wznicił wreszcie w Czechach powstanie przeciw Bolesławowi, i sam ruszył z wojskiem na Pragę.

Za późno dowiedział się o powstaniu Bolesław, za późno, aby je stłumić, ale dość wcześniej, aby klęsce zapobiec. Wojska po kraju rozstrzelone, o obronie stolicy mowy być nie może.

We wrześniową noc wśród rot Bolesława niezmierny ruch, jak błyskawice lecą po pułkach rozkazy, — „chytry“ król nieszczęście uprzedzał.

Z wieczora oddział za oddziałem przechodził Wełtawę, bez straty jednego człowieka wywiódł swe wojska znakomity wódz; gdy północ nadeszła, rzeka roi się od tysiąca czółen i promów.

Roi się rzeka, a przecie cisza niezmierna, plusk wody jeno słyhać.

— Wtem zagrały dzwony na Wyszehradzie, kotły na gwałt biją.

Krzyk okropny z tysiąca gardzieli.

— Wymyka się chytry wróg — wołają Niemcy.

— Do broni! Do broni!

Czerń ludzka na brzeg Wełtawy wali.

Za późno! —

Serbskie, morawskie i słowackie rycerstwo już rzekę przebyło.

IX.

Zawrzała krew, zapłonęła żądza zemsty. Trzeba raz na zawsze skończyć z Polską, trzeba „jadowitego gada“ Bolesława raz na zawsze nieszkodliwym uczynić. Trzeba pomścić hańbę, jaka na cesarstwo spadła, odebrać zagarniętą łużycką ziemię, zdobyć obsadzony polskimi wojskami Budziszyn i Strelę. Wszak dziś już w Mysznach Bolesław panuje. Elstera to jego państwa granica. O pomstę do cesarza wołają spalone grody, zabrane w niewolę tysiące niemieckiego ludu. Czas pobić gada, który nie dość, że odebrał Niemcom wszystkie słowiańskie ziemie, ale na dworze cesarskim ma dobrze opłacanych ludzi, którzy „kogo tylko można“ buntują przeciw cesarzowi. Porą jesienną ruszył Henryk przez ziemie Milczan do Polski. Byłby bezwątpienia całą Polskę wówczas zawojował, gdyby nie ta okoliczność, że „uciążliwa na wszelki wyraz droga“ stanęła na przeszkodzie. Na domiar nieszczęścia pokazało się, że ta sama droga nie była dla Bolesława wcale uciążliwa; dopadł Budziszyna, załogę w nim wzmocnił. Gdy podszedł cesarz pod stołeczne łużyckie grodno, przekonał się, że zamiast iść do Polski, trzeba najpierw warowny Budziszyn zdobywać.

Dowództwo nad oblężeniem powierzył cesarz Henryk dwom sławnym rycerzom. Pierwszym z nich był znany w całych Niemczech ze swych

cnót rycerskich duk Hemuza, drugim zaś „niezwyciężony“ Tommo, wielki żołnierz i zawołany myśliwy. Wybornie wojska sprawili i z niezmiernym impetem uderzyli na Budziszyn. Mrowisko ludu zbrojnego ze wszech stron na warownię leci; jako królowa chmurą pszczelego roju, tak Budziszyn ze wszech stron żelazem, rycerstwem otoczony. Poszli cieśle cesarscy w las, ścinają sosny, koło twierdzy budują ogromne wierze, na szczytach wież ukryci procarze gradem kamieni obsypują obrońców.

Ustawiono pod miastem wielki prostokąt z drzewa, na dwóch słupach oś w piastach się obraca, na osi lata dźwignia podobna do ogromnej łyżki. Dziesięć lin w osi skrecono, aż trzeszczą naprężone konopie, w zagłębieniu łyżki gład straszny leży, pofolgowano tamę, rozprężyły się skrecone liny, strasliwym rzutem dźwignię w górę rzuciły; zaświszczało powietrze: to gład mocą i chyżością niezmierną leci na twierdzę. A tam na wałach Sotaby łużyckie, tam mieszczaństwo budziszynskie wrogom urąga, tam przesławni łucznicy królewscy chmurę strzał na niemieckie wojsko posyłają. Wściekłością zapłonęły cesarskie szeregi. Sam cesarz leci w gwar bitwy, podbiegł na czele wojska pod mury, do boju i pomsty wzywa.

Spostrzegł cesarza łucznik polski, poznał go po lśniącym hełmie, po kosztownym, od złota kapiącym stroju, ukrył się za szczerbę w murze, przymrużył oko, na cesarza patrzy.

Długo mierzył i mierzył, napina ramię, wy-
ciągnął z baranich kiszek skręconą strunę, aż łuk
syczy i trzeszczy...

Puścił...

Jak błyskawica przeleciał grot koło ucha ce-
sarza, zapłakała świstem strzała, ocalał cesarz,
strzała trafiła grafa, przebiła odzież, wdarła się
w pierś, przeszła nawskroś serce. Przyjaciół ce-
sarza trupem u stóp jego leży.

Spojrzała cesarzowi w oczy śmierć, rzucił się
do ucieczki, po stokach góry na łeb na szyję
leci; zabiegł tam, gdzie strzała już nie sięga,
gdzie nie świszczą kamienie z polskich proc. „Pod-
niósł cesarz serce do Boga, chwając Stwórcę, że
go ocalił“.

Budziszyn opasany tłumem zbrojnego ludu,
mury jego otacza wieniec zabitych niemieckich
żołnierzy.

Wielki wódz Hemuza ze zgrozą patrzy na po-
bitych własnych wojowników, do uszu jego dola-
tuje z wałów śmiech i urąganie. Wzburzyła się
rycerska dusza, zakipiała w dzielnym wojowniku
krew. Za krew krwią postanowił zapłacić; przy-
siągnął, że wymordowaniem załogi pomści wybit-
nych cesarskich żołnierzy. Dojrzał miejsce, w któ-
rem warownia była najsłabiej broniona, gdzie pa-
lisady były najniższe i mury najsłabsze. Postano-
wił zebrać wojsko i w to miejsce uderzyć. Wśród
ciemnej nocy na stromym stoku warowni wszystko
rycerstwo gromadzi. Cicho idą pułki pod mury,

zemstą dyszący Hemuza im przewodzi, już do palisad doszli już mają wpaść na wał...

Na wałach ruch jakiś dziwny. Ciemno zupełnie, tylko na tle jaśniejszych trochę chmur coś majaczeje, coś się kotłuje. Wytrzeszczył oczy Hemuza... stoi tam zaledwie trzech polskich żołnierzy. Pochylili się ku ziemi, jakby napadu nie widzieli, jakby po ciemku jakiś ciężar nieśli, jakby trupy pobitych zbierali. Ostatni czas napaść, nim się spostrzegą. Jak huragan uderzył Hemuza na miasto, chmura wojska leci na górę, już ma twierdzy dostać, gdy...

Trzej polscy żołnierze wypełzli na szczyt wałów, pracując ciężko, toczą ogrom,... puścili...

— Boże!

Straszliwy młyński kamień leci stokiem jak burza, spada, dopadł wojska...

Jako huragan wyłomie w lesie pas stuletnich drzew, jako żeniec wysiecze zagon pszenicy, tak w czerni ludzkiej ogromny pas wyścielony trupami, zalany krwią.

Piekielny głąz leci, że aż ziemia dudni.

W połowie swej śmiertelnej drogi wpadł na wodza Hemuzę. Zmiażdżony, oblany krwią, bez ducha wielki wojownik leży.

A tam tysiące ludzi śmiechem huczy, słychać urągowiska i naigrawania ze straszliwej kłęski. Mało im było pogromu. Wśród ciemnej nocy chmura ludzi z twierdzy wypadła, najbliższych wysiekli, porwali zmiażdżone ciało Hemuzy, do

twierdzy je niosą, aby je pogrzebem na niepoświęcanej ziemi pohańbić.

Wówczas największym złem było zostać pochowanym w cudzym grobie, zakopanym w cudzej ziemi.

Zapłakał gorzko cesarz nad śmiercią komesa*), na jego rozkaz pułkownik rozwinął białą chorągiew, do twierdzy poselstwo cesarskie idzie. Stał hrabia Zygfryd Thiethmar przed polską załogą i rzecze:

— Sprzedajcie mi ciało Hemuzy!

Podparł się pod bok zuchwały setnik i rzecze:

— Dawaj za niego sto złotych denarów.

— Opuść co, bracie!

— Nie mogę.

— Czemu?

— Dziś ten towar jeszcze drogi, za kilka dni dopiero potanieje.

— Dlaczego?

— Tak was wysieczem, że będziecie tańsi od baraniny.

Zapłacił pułkownik gotówką brzęcząca, zabrał ciało i zawiózł do ojczyzny.

W namiocie cesarskim zebrało się przedniejsze rycerstwo, aby nad dalszym oblężeniem obradować.

Raz już trzeba zakończyć oblężenie, bo dla wojska chleba nie staje, daje głód się we znaki

*) hrabia.

cesarskiej armji. W wojennym śpichlerzu dawno widać dno, wszystkie wsi okoliczne już zrabowane, zniszczone. Po chleb trzeba wyprawiać się do Drażdżan, nawet do Lipska. Małe oddziały, odebrane od wielkiej armji, lud łużycki tępi. Żołnierze zamiast chleba rany i trupy do obozu przynoszą. Trzeba twierdzą wziąć, bo tam dostatek chleba wielki. Podczas ataków rzucają czasem bochnami chleba, pościami słoniny, a biedny niemiecki żołnierz lecąc do szturm, zamiast bić, rzuca się, aby jeść.

O zakończeniu więc nieszczęsnego oblężenia radzą. Są tam: wielki wojownik Tolkmarr, Adelheid, sławny z męstwa Izyk, Wizon, młodzieńczy Ludolf i komes Dietrich. Ścichły głosy, które nawałtownie wzięcie fortecy doradzały; jedni namawiają, aby ustąpić z pod twierdzy, drudzy sądzą, że trzeba podstępem i chytryością warownie zdobyć. Wszyscy zezem patrzą na komesa Dietricha, niechętnie obecność jego na radzie widząc. Świadomi są wszyscy, że to tajny przyjaciel Bolesława, że to krewniak bawarskiego Hecyla i Wirynhara, mężów trzęsących niemieckiem państwem, którzy „nikczemną wobec Bolesława uniżonością i służalstwem godność swą splamili“ pisze Thiethmar.

Szepty latają w namiocie:

— Co my obradzim, jutro Bolesław wiedzieć będzie!

— Dietrich wszystko wyda!



Upadł Otton przed grobem świętego (str. 44)

BIBLIOTEKA
BN
NARODOWA

— On wziął grubą łapówkę — zapewnia cesarz Henryk.

— Bazyliżkowe oczy Bolesława go podbiły!

Dopiero gdy komes znużony jałowym sejmem odszedł, zawołał niewyciężony Tommo:

— Ja twierdę wezmę!

Wszyscy spojrzeli na olbrzymiego męża. Całe Niemcy znają jego nieustraszoną odwagę. Wszak on uzbrojony w krótki myśliwski nóż, sam na sam z niedźwiedziem się boryka, wszak on codzień idzie w puszcę i codzień krwawą skórę dzikiego zwierza do domu przynosi. Zmoże żubra, chwyciwszy go za rogi, młody dębczak wyrwie z korzeniem z ziemi. Tommo straszny zarówno dla wroga jak i dla dzikiego zwierza.

I znowu w nocy idzie wyprawa na Budziszyn. Wódz wybrał kilkunastu olbrzymich drabów, gromada ludzi z Tommą na czele zmierza ku twierdzy; oni wedrą się chyłkiem, wejdą podstępem, otworzą bramy, znak dadzą. Na ten znak cała cesarska armja do Budziszyna wpadnie. Idzie Tommo brzegiem Sprewy, w śmiertelną drogę idzie, a przecież nie myśl o śmierci, jeno pogodę, pewność zwycięstwa widać na spalonem, zarosłem obliczu. On wie, jak w puszczy podejść zwierza; on wie, jak szukać czujność budzisyńskiej straży.

Idą do miasta brzegami Sprewy. Rozsypali się, każdy swą drogą dąży, olsze nadbrzeżne ich kryją, żołnierz jak derkacz trawą nadbrzeżną brodzi, wiklinami się przemyka; gdzie pusty brzeg,

na twarz upada i na czworakach zwolna lezie. Przemknął się przez otwarte miejsce, znowu we wikliny buchnął, na przedzie rozsypanych żołnierzy Tommo ze straszliwym mieczem naprzód się posuwa.

Stanęli.

— To mury miasta.

— Sprewa je przerwała.

— Nad rzeką musi być straż.

— Podejdę i zobaczę, szepnął żołnierz.

— Stój! — zatrzymał go Tommo — Ja sam pójdę.

— Czekamy na twój znak.

Wrócił wódz brodząc rzeką.

— Obie strony rzeki pilnowane.

— Po lewej żołnierz śpi. Usiadł na ziemi, ręce na oszczepie wsparte, głowę zwiesił na ramię.

— Nie przewidują napadu...

— Uśpiona ich czujność...

— Zabić go!

— Czekajcie, ja załatwię się z nim sam.

— My zaś...

— Z waszych rąk drugi zemrzeć musi. Ten, co czuwa na kamieńcu. Jeśli wyda jęk, zginęliśmy.

— Obóz się obudzi, daremny nasz trud.

— Do dzieła!

Trzech ludzi wpęzło we wiklinę. Oczy wlepione w żołnierza. Ten z mieczem w ręku chodzi brzegiem rzeki. Gdy idzie ku Niemcom, siedzą cicho w gąszczu wierzbowym bez ruchu, bez ży-

cia, żeby się nie zdradzić. Doszedł strażnik do wiklin, zwrócił się w przeciwną stronę, teraz pora iść naprzód, teraz czas. Przeszli gęste wikliny, do ziemi przykuci. Żołnierz znowu powraca, ku nim idzie... przy nich jest... chce iść z powrotem —

Dwóch chłopów skoczyło, czworo rąk gardło dławi; zacharczał żołnierz, oczy na wierzch wyszły, przyskoczył trzeci i mieczem przeszył strażnika na wylot.

A po drugiej stronie Sprewy idzie sam Tommo, jak kot skrada się do śpiącego człowieka — już jest koło niego. Ciął ogromnym mieczem w pochylony kark. Głosu żołnierz nie wydał, ani westchnienia; grobową ciszę przerywa tocząca się po spadzistym brzegu martwa głowa.

— Naprzód!

Znowu cichutko ruszyło wojsko. W żołnierzu serce niepokojem i strachem bije, rzadsze tu już wikliny, chaty nad brzegiem rzeki widać, płótna na trawnikach się bielą, za trawnikami jabłonki się rozłożyły, głógowe żywopłoty się czernią. — Wśród głógów i jabłoni poruszyło się coś z lekka.

— Widzisz?

— Wiatr gałęzie chwieje.

— Tam jest człowiek.

— Nie! Żywej duszy niema.

— Słyszać coś, jakby stłumiony ludzki gwar.

— Chodźmy dalej. Strach senne widziadła rodzi.

Uśmiech triumfu na licach Tommy.

— Zwycięstwo! — szepce.

— Minęliśmy wały.

— Budziszyn nasz!

— Wszyscy na jedną bramę uderzym; jeśli jest straż, wybijem ją w pacierz, mieczem i toporem wyrąbiem drewniane wierzeje.

— Gdy brama runie, niech ozwie się róg.

— Na ten znak, całe wojsko wpadnie.

— Nim wpadnie, wytrzymamy nawalę, na łbach miecze szczybić będziemy.

— Naprzód! Naprzód!

— Cicho! Jak koty!

— Cicho! Wydamy okrzyk triumfu, gdy miasto w ogniu stanie!

Uszli niewiele kroków.

— Dziwna zaprawdę rzecz!

— Co cię dziwi?

— Miasto jakby wymarło.

— Spią!

— Przeraża mnie ta grobowa cisza.

— Ta straszna cisza wyje w mem uchu: „zdrada“.

— Milcz! Głupiś! Naprzód!

Już mieli iść naprzód, gdy wtem...

Obejrzał się za siebie Tommo — dreszcz strachu wstrząsnął mężnym rycerzem, nieruchome oczy wlepił w wodę: tam za nimi, gdzie woda mury miasta przerywała...

— Widzisz?

— Kotłuje się coś, tłumi.

— Srebrna fala poczerniała, jakby ją zawa-
liły głązy.

— To ludzie!

— Tłum chłopstwa rzekę nam zagroził!

— Śmierć nam!

Jako piorun przed burzą, tak straszny śmiech
urągania, lecący od murów, przerwał spokój je-
siennej nocy.

— Otoczyli nas!

— Spostrzegli nas i rozmyślnie do twierdzy
wpuścili!

— Teraz odwrót odcinają.

— Niech się ozwie róg!

— Daj znak! Cesarz przyjdzie z pomocą!

— Inaczej śmierć nam!

— Albo im! — krzyknął Tommo, który ze
strachu ochłonał, którego serce na widok nie-
bezpieczeństwa rosło, dla którego śmiertelny bój
był chlebem codziennym.

Dano sygnał obozowi... —

Skupiło się żołnierstwo około wodza...

— Ratuj nas!

— Wyratuje was wasze męstwo i mój miecz!

Zlecieli się żołnierze do boku pułkownika;
ostatni czas, bo i od miasta tłum chłopstwa z ce-
pami leci. Otoczeni murem ludzkim, dzielnie się
Niemcy biją. Tommo, który spokoju nie stracił,
walcząc, zwolna cofa się biegiem rzeki do wy-
łomu w murach. Weszli w wodę. Dziwna to była

walka na środku rzeki. Żeby tylko przez kilka pacierzy napór chłopstwa wytrzymać, do wylotu dojść, — a tam już wolna droga do odwrotu, tam wolne błonie, tam stoki twierdzy, i odsiecz, i cesarz... —

I podobnem jest to wojsko do mszycy, którą ze wszech stron mrówki otoczyły, broni się biedny owad przed wrogiem, ucieka, nawała drogę tamuje, mszyca i mrówki to żywa calizna, która idzie dalej i dalej, — tak to wojsko zwolna do wylotu idzie.

Nim dojdą, wymrą wszyscy. Napadło ich nie rycerstwo żelazne, lecz łużyckie chłopstwo, którego orężem cepy.

Marna broń w obliczu żelaznego miecza, gdy wojownik miecz puści, liche drzewce w drzaski leci. Ale czego nie dokona marna broń chłopska, to zrobi straszliwa ludzka nawała; uderzył rycerz mieczem, trzy bijaki przeciął, a dziesięć cepów spada na hełm jego żelazny, w łeb wali, ogłuszony pancernik na ziemię się stacza.

Maleje gromada — maleje...

Chce swych wiernych żołnierzy ratować Tommo. Nie broni się wielki rycerz, lecz napada, na chłopów uderza, drogę toruje, świszczą straszliwe razy w powietrzu, ściał kilku kmieci, którzy mu drogę tamowali.

— Naprzód! — woła — Naprzód!

Topnieje oddział, jak bryła lodu w promieniach słońca, w oczach maleje i znika, a jednak Tommo idzie naprzód. Z braci rycerskiej zostało jeno pięciu, już jest tylko trzech, ci wyjdą z obieży, wrócą do swoich.

Wspiął się Tommo na wysoki kamień wystający ze Sprewy, aby tem łatwiej ciąć... poślizgnął się i runął do wody. —

Chłopstwo rozbiło łby jego towarzyszom i rzuciło się na wielkiego wojownika, grad strasznych ciosów na niego spada i tak zginął mąż sławny od topieli i cepów łużyckiego chłopstwa.

Ucichło wreszcie wszystko. Sprewa, zabarwiona krwią, czyści się już i bieleje, wartka toń unosi zwłoki rycerza, który na cały świat słynął ze swej odwagi.

Chłopi łużyccy opuścili pobitych i jak wicher lecą wałami do głównej bramy. Tam grają trąby, tam krzyk, jakby się świat walił.

Posłyszano w obozie cesarskim echo rogu, wszystkie wojska na główną bramę uderzyły, wszak Tommo miał je otworzyć. Pomsta wiedzie Niemców na twierdzę, wiedzie ich straszliwy głód. Od trzech dni prawie wszystka żywność wyczerpana, od trzech dni wojsko mrze głodem. Przypadli do bramy, sądząc, że stoi otworem. A tu przed obliczem zgłodniałych ludzi, bramy nietylko zamknięte, ale szczyty murów tysiącem procarzy obsadzone; grad kamieni leci na wojsko, wrzająca

wodę leją na Niemców. Zamiast zwycięstwa, straszny pogrom. Zaświszczał kamień z procy, uderzył cesarza w prawe, zdrowe kolano, upadł monarcha na ziemię, jęczy okropnie i przeklina, podnieśli go pacholkiwie, do obozu niosą. Do obozu spieszy całe wojsko, niosąc rannych, pobitych i wstyd.

X.

Nabrał przekonania cesarz niemiecki, że teraz nadszedł czas skruszyć śmiertelnego wroga i do nowej wyprawy na Polskę ściąga wojsko.

Wojny z Polską były dotąd uważane jako sprawa graniczna, jako obrona kresów przed wrogim najazdem, — dziś stały się kwestją bytu niemieckiej potęgi, kwestją obrony przed okropnym najeźdźcą.

Już nie Marchje Wschodnie, ale całe cesarstwo przeciw „lwu ryczącemu“ wyruszy. Narody z Włoch, Alp, z nad Renu, Dunaju, z nad brzegów Oceanu idą przeciw Bolesławowi na bój. — W proch zetrze Polskę to niezmierne morze wojska, które ze wszech stron Europy idzie na wschód.

Z komór wydobyto wszelaką broń, z ducha wszelakie kłamstwa. Cesarz ogłasza, że Niemcy „z wrogiem Chrystusa“ idą się bić. Kościół niemiecki rzuca klątwę na tych, którzy na bój z Polską nie pójdą.

Wysłano gońców do czeskiego księcia Jaromira, wasala cesarskiego, aby natychmiast na wyprawę się stawił, wezwano pogańską lutycką starszyzną, aby się z cesarskimi złączyła.

Zwołano tę czerń, to mrowisko zbrojnego ludu w imię Chrystusowe. Przeciw komu ta rzesza ciągnie, kogo pobić i zetrzeć zamierza? W imię

Jezusa poszli w bój z wielkim budowniczym kościołów, z fundatorem biskupstw i opactw, z nieśmiertelnym opiekunem męczenników, których groby w olbrzymie, ze złota lane posagi stroił. Idą przeciw szermierzowi świętej wiary, przeciw królowi chłopów, który ojcem był kmiecia, nie panem, przeciw opiekunowi wdów i sierot!

Cesarz bezczelnie skłamał, jakoby wojna przeciw Bolesławowi, była wojną za sprawę Chrystusową; to kłamstwo oburzyło wszystkie zacne serca i wszystkich uczciwych ludzi. Ci łączą się z Bolesławem.

Oto przyszedł do pałacu poznańskiego święty Bruno, stanął przed obliczem Bolesława i rzekł:

— Kocham cię, Bolesławie, jako duszę moją i bardziej niż życie moje.

— Za twe słowa, święty mężu, niech ci Bóg zapłaci. Będą one dla mnie pociechą i otuchą w nieszczęściu, które na mój naród spada.

— O wojnie mówisz? klęski się boisz?

Zachmurzyło się czoło króla, zmarszczyły się płowe jego brwi...

— Nie wojny ja się boję — o! nie wojny. Boję się chat, które płonąć będą, żal mi marnie przelanej krwi ludzkiej, boję się widoków błoń, na których trupy gniją, żal mi wdów i sierot, którym mężów i ojców porwie wojna!

Żal, smutek, potem gniew. Porwał się rozgniewany król z ławy, ujął rękę Brunona, wska-

zał na wizerunek Chrystusa, wiszący nad tronem i zawołał z mocą wielką:

— Ten Chrystus, który wie wszystko, widzi, z jaką niechęcią przystępuję do dzieła, które wykonać zamierzam!

Usiadł Henryk na wzgórku, na szeroką Łabę patrzy, oczy jego radują się widokiem niezmiernych wojsk. Tam na rzece kilkadziesiąt promów się mija, każdy prom dopływa do brzegu przepełniony ludźmi, a pusty wraca na drugą stronę, aby nowe rotę zabrać i na brzeg wysadzić. Mimo gorliwej pracy przewoźników całą noc i cały dzień trwała przeprawa.

Całe wreszcie wojsko stoi na słowiańskiej ziemi. Słychać śmiechy, gwar, krzyki. Wrzawę wojsk przerwał głos, który leci przez pustki:

— Cesarz chce mówić! Cesarz!

— Władca do wojsk swych, do dzieci przemówi!

Na pagórku wśród stu chorągwi stał kulawy cesarz Henryk, otoczony przez biskupów, komeśów i panów.

Wzrokiem toczy po mrowisku ludzkim, czeka, aż się rozgwar i szum uspokoi; gdy zaś zapanowała zupełna cisza, rzekł Henryk głosem uroczystym:

— Żołnierze! Najsurowiej zabraniam wam uciekać przed Bolesławem, ktoby zaś wbrew zakazowi śmiały tył podać, na gardle karanym będzie!

* * *

Przeszedł Henryk przez ziemie Hawelan, mi-
nął Bielczyk, Jutrybóg i Damnę, — oto serbskie
Łużyce, posiadłości już Bolesława, próg polskiej
ziemi.

Wesołość w wojsku już mniejsza, wszystko
walnej bitwy oczekuje, na każdym kroku i każ-
dej chwili napadu Bolesława się spodziewa. Dzi-
wna zaprawdę rzecz, że żadnego wojska, żadnego
oporu tu niemasz, nikt wstępu do ziemi polskiej
nie broni, pustka i cisza, jakby kraj cały wymarł,
jakby żywej duszy tu nie było. Przebył cesarz
moczary i lasy, wieś jakąś wśród borów znaj-
duje, oszczepnicy i procarze idą, aby dobytek złu-
pić, chaty na mieszkanie dla cesarza i biskupów
zająć; dopadł żołnierz pierwszej chaty... pusta, psa
nawet nie uświadczy, druga i trzecia podobna do
pierwszej, cała wieś pustką stoi. Ludzie poszli, do-
bytek uprowadzili, wszelki sprzęt, wszelkie narzę-
dzie zabrali. Doszło rycerstwo do połowy w pod-
kowę zbudowanej wsi... w drugiej połowie na strze-
sze pokazuje się czerwony płomyk ognia: wnet
dom stanął w płomieniach, nieznana ręka ogień
podłożyła. Godzina nie minęła, a w oczach cesa-
rza cała wieś stoi w płomieniach; całe sioło —
to ogromna, krwawa podkowa ognia...

Ucztowało dawniej wojsko w wesołym po-
chodzie, dziś mniej wesołości w obozie, maleją za-
pasy, nagromadzone na daleką wojnę — jednak
rycerstwo nie traci nadziei i otuchy.

— Do bogatej ziemi polskiej idziem, na niczem nam zbywać nie będzie!

— Chaty ich złupimy!

— Miasta zrabujemy!

— Na dobytku ich ucztować będziem!

Ależ tu w ziemi polskiej niema co rabować, niema co łupić, niema — o zgrozo! — do ust co włożyć. Gęste wsi spaleniskami się czernią, Bolesław lud ze sobą w głąb kraju uprowadził, miasta zrujnował i podpalił, aby cesarz i jego wojsko dachu nie znalazło nad głową.

Zastawiono niewodami rzeki, aby rybą wojsko karmić, cesarz kazał rozbiec się żołnierzom po puszczech bogatych w zwierzynę i polowaniem zdobywać żywność, która w obozie kończyć się zaczynała. Nad rzeką Sprewą, sam obozem się rozłożył, na wieści czekając, które mu mieli przynieść szpiegi ze Śląska z obozu Bolesławowego.

— — — — —
A rotty wojsk idą w ciemny bór, gonią za jeleniem, żubra szukają, polują na błotne i leśne ptactwo. W gęstwie leśnej ujrzeli tura; wnet dziesięciu ludzi go otacza, — wypadł byk z gęstwiny, w puszcze leci, zdyszany żołnierz z toporem za nim goni. Dopadnie go, tó zwierzę ze wszech stron osadzone, nie ten to tamten oszczepem przebiję; stracił zmęczony żubr dech, przystanął, znowu rusza, ziemia drży od łupotu jego nóg, jakby burza leciała przez olchy i brzeziny... Już ma zgłodniały żołnierz wypaść na zwierzę, już ma

stoczył walkę na śmierć i życie, toporem łeb roz walić, gdy wtem... —

— O! O! O!

Kamień rzucony w sam środek łba pacholka uderza, niewidzialna ręka ten pocisk z ciemnej gąszczy na Niemca wysłała...

— Boże! Boże!

Konający człowiek ostatni raz nieprzytomnym rzucił wzrokiem...

Tam jego towarzysz chwiejnym krokiem się wlecze, za pierś się trzyma, dobył z niej strzałę, ręką krew tamuje. Patrzy rycerstwo na pobitych braci, patrzy nieme w pustkę leśną...

— Ludzie tu są! Ludzie!

Żywej duszy cesarz w pochodzie nie widzi, a przecie ta puszcza ludu pełna, tam siedzi Bolesław z mrowiskiem swych przesławnych łuczników, którym strzały za najważniejszą służyły obronę. Kto oddalił się od armji, ten marnie ginął, tego tępił ukryci w lasach żołnierze, wystrzelali celni łucznicy królewscy. Oto siedzi cesarz w głodem przymierającym obozie, raduje się na powrót wojsk wysłanych po zwierzynę w bory...

— Widzicie! — woła radośnie, oto tabor z puszczy wraca, żubry pobite nam wiozą!

— Nie panie, to nie żubry.

— Na telegach*) zielenią luszczyn pokryte...

— To trupy, panie, trupy!

*) Wozy.

Przybladł cesarz ze zgrozy i żalu, gdy nadjechał przed namiot cesarski tabor drugi...

— Pobite jelenie wieziecie?

— Nie, wielki władco, to trupy!...

Dziwi się Henryk, że żaden z jego szpiegów nie wraca. Wszak we wrześniu do Chociebuża wieści pierwsze przynieść mieli, dać znać, co Bolesław czyni, co czynić zamierza.

Długo oczekiwano w trwodze i niepokoju. Złapano wreszcie zbrojnego chłopca, dostała wielka armja języka, dowiedziano się, że król polski w Krośnie się obwarował, że tam na niemieckie wojsko czeka. Uderzyć na Krosno — oto myśl, która się w jednej chwili zrodziła, w jednej chwili w życie, w czyn wprowadzoną została. Żołnierze cesarscy zwijają namioty, bez chwili wypoczynku idą na starcie Bolesława. Nie straszą ich czarne od ognia zręby chat, nie straszą ich miasta opuszczone w ruinie. Pospiesznym pochodem zmierza cesarz ku Odrze, wściekłością dyszy zgłodniałe, z trudu upadające wojsko.

— Na mieczach go rozniesiem!

— Przekleństwo mu!

— Warownię w jednym dniu weźmiem!

— Tam chleb, radość, tam wesele.

A najbardziej męstwo budził, najsilniejszą odwagę rozpromieniał ten spodziewany w Krośnie chleb... Idą. Jakby czarna chmura szła na Kro-

sno. Oto przed pułkami białą wstęgę Odry wi-
dać; oto do jej wód srebrzący się Bóbr wpada,
za Bobrem miasto wielkie, warownia olbrzymia
to Krosno. Noc zapadła, błyszczy się w oknach
twierdzy rój świateł, na majdanach rozpalono sto
ognisk, czerwono zabarwione kolumny dymu idą
w niebo nakształt słupów ognistych; wre tam śnać
życiem obóz polski.

Zaśpiewał cesarz Henryk wraz z biskupami
i całym zbrojnym ludem psalmy, przeprowia się
przez Bóbr w bród, — na drugiej stronie rzeki
natychmiast pułki sprawiono, ze wszech stron ude-
rzono na gród...

Leci szarańcza wojsk...

Pytania, strach, przerażenie, popłoch...

Najzarliwsza obrona nie przeraziłaby tak
wojsk cesarskich, jak martwota, pustka i cisza
— straszliwa cisza grobu, jaką Henryka wielki
gród powitał.

Przecie Krosno kilka godzin temu morzem
świateł i ognisk gorzało...

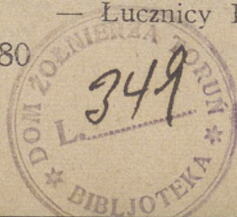
Teraz pustka, bramy otwarte, ludzkiej istoty
w mieście nie masz. — Puste ulice, psy się jeno
włóczą. — W domach nikogo — na ulicach ni-
kogo...

Przybiegł wreszcie do cesarza człowiek.

— Na namięściu są ludzie.

— Pewnie oszczepnicy się bronią.

— Łucznicy Bolesława w zasadzce.



— Nie cesarzu! Nie... Ci ludzie których widziałem spokojni i cisi.

Pobiegał cesarz na namięcie, oczy szeroko otworzył i zbladł.

Dziesięć szubienic, a na nich dziesięciu szpiegów, których do Polski wysłał.

XI.

W zamku poznańskim roki*), Bolesław Chrobry, Zdieszko, opat tyniecki, królewicz Mieszko, Borys i Niezamysł do późnej nocy obradują. — Skończył się sejm wreszcie, z komory wyszedł Borys i Niezamysł, wyprowadził ich król, którego oczy smutne —

— Na pewną zatrąte idziecie, bracia drodzy.

— Postanowiliśmy.

— Żal mi waszej zacnej krwi. Ostańcie!

— Ani chwili.

— Ostań Niezamysle.

— Dziś idę!

— Ze straszliwej toni, od straszliwej śmierci niech was Bóg wybawi.

* * *

Dwaj władcy lutyccy zrzucili dworskie złotogłowy, w ubogi, kmiący strój odziani, w daleki świat idą. — Niezamysł w białe giezło ubrany, kozuch barani włosom na wierzch obrócony, wziął na chłodne wrześniowe noce; u pasa rzemieennego wyostrzony wisi nóż; nogi obute w łapcie skórzane.

Taki sam strój ma i Borys, zdaleko jednak odróżnisz od Niezamysła, poznasz go po olbrzymich czarnych włosach, które do połowy pleców spadają, w oczy kędziarami się pchają, na piersiach w bogatych lokach się kołyszą.

*) Obrady.

Poprawili na plecach węzélki, uciéli z dwóch drzew grabowych dwa kostury i wnet znikli w czarnym lesie.

* * *

Cofnęły się wojska carskie z pustej, ogłodzonej ziemi, bieda je wiedzie ku posiadłościom saskim, tam w słowiańskim dziedzictwie, gęste wsie przybłędów Niemców rozłożone, tam cesarze rzymscy od niepamiętnych czasów chłopstwem z nad Renu i Dunaju, z Bawarji i Szwabji osadzają słowiańską ziemię.

Dziś wojska cesarskie łupią bez litości siola własnych rodaków, dobytkiem bratnich kmieci żołnierz się pożywił. Gdzie pułk cesarski we wsi się zjawił, jakby zaraza przez wieś przeszła, jakby banda rabusiów doszczętnie wieś splądrowała. Wysłał cesarz podjazdy w głąb ziemi saskiej; aż do Merzeburga, aż do Wojmiru*) zbójeckie bandy się zapuszczają, stada bydła pędzą przed sobą do obozu, wozy pełne zboża wiozą do obozu. Gdy spustoszone zachodnią Saksonję, wojenny śpichlerz się napełnił, otucha we wojsko wstąpiła; można znowu posiadłości polskie napaść, zamarzyć o zwycięstwie i pokonaniu wroga.

Wnet ruszono na północ. Inną już drogą idą wojska cesarskie; rada cesarska uchwaliła, żeby omijać łużyckie posiadłości. Tam kraj opuszczony przez chłopstwo serbskie, tam w przepa-

*) Weimar.

ściach borów za każdym powalonym drzewem bolesławowy strzelec siedzi, jakby z pod ziemi się zjawia, napadnięty przez gromadę żołnierzy, jakby w piekło się zapada. Ogromna wyprawa idzie na północ przez ziemie Hawelan.

Przejdą przez kraj Lutyków, potem zwrócą się na wschód, przejdą Odrę, podążą korytem Warty do Poznania, zetną w proch śmiertelnego wroga w jego własnej stolicy.

Wszystkich chorych żołnierzy zostawiła armja na Śląsku na pastwę głodowej śmierci. A choć seciny już wymarły, nie przeliczysz jednak olbrzymiej armji, która idzie z cesarzem na północ. Mrowie zbrojnego ludu weszło w czarny, nieprzebyty bór.

Dwa tygodnie leje deszcz, rozmokły podściółki leśne, noga ślizga się po korzeniach, koń tonie w błocie na ścieżce lesnej. Choć wojsko wyrąbało w lesie drogi dla podwód, przecie jak żółw powoli wloką się wozy, których koła po osie grzęzną w błocie.

Na noc namiot żołnierza okrywa, ziemia jednak, na którą strudzony upadł, mimo podściółki z jedlin, wilgocią zaraża; gorączki i zimnice dziesiątkują obóz.

Przez trzy dni dziesięć mil uszli. Puszcza rzędnie, przez szereg sosen przeświecają coraz szersze płaty nieba. Doszli do kresu puszczy, gdzie u stóp wojska roztoczyło się niezmierne jezioro. Wojsko

stańło nad wodami; toń niezmierna wstrzymała pochód. Cesarz wysłał podjazdy, aby znaleźć dalszą drogę. Noc późna zapada, a rycerstwo niecierpliwie na powrót wywiadowców czeka. Po północy wrócili i stoją przed obliczem cesarza.

— Znaleźliście drogę?

— Niemasz jej, dostojny władco.

— Tam, na prawo...

— Niezmierne bagno, gnijąca woda bronzowa, jakby spiż płynął.

— A więc pójdziemy na lewo.

— I to niemożliwe, na kilka mil dookoła bagno. Wśród podgai bezdenne topiele.

Wraca cesarz. Znowu trzy dni okropnej drogi wstecz, armja szumi pomrukiem przekleństwa, rada cesarska traci głowę, wpada w gniew, w złość, w rozpacz.

— Przewodnika nam trzeba.

— Znaleźć go musim.

— W bagnach potoniem.

— Wnet znowu zawita do nas — głód.

Zaświeciło przecie słoneczko jasne, lepsza droga, lepsza w sercu otucha. Otuchy dodaje Brunzjon, żołnierz nieustraszony, Bolesława całą duszą nienawidzący. On prze do szybkiego pochodu, on goreje, aby raz już ujrzyć Bolesława pokonanym i zdeptanym.

Prowadzi Brunzjon wojsko. Ominęła armja bagno, ku północy idzie.

— Kto wie, czy znowu wpoprzek drogi nie stanie nam woda?

— Może znowu marna męka, marny trud.

— Przewodnika znaleźć musim.

Na rozkaz cesarza podjazdy przetrzysają za nim lasy i bory.

— Ciężko to przyjdzie, zaiste.

— Tam w Łużycach Bolesław uprowadził chłopstwo wraz z dobytkiem w głąb Polski.

— Tu Lutyce w obawie przed rabunkiem uciekli na Pomorze.

— Śmierć nam z głodu i wycieńczenia.

— Przecie w obozie naszym kilka pułków Hawelan. Nie znają oni w tych puszczech drogi?

— Nie. Nasi sprzymierzeńcy z nad Łaby, z pojezierz świeżyńskich pochodzą; lasów pogranicznych polskich jako i my nie znają.

— Pułkownik nasz z namiotu biskupa Tagina wraca.

— Pilno mu. Pewnie nowy rozkaz niesie.

— Zbliża się do nas.

— Jakie wieści oznajmisz nam, panie?

— Ruszamy w pochód!

— Dokąd?

— Jako przednia straż języka i przewodnika musimy dostać.

* * *

Sławny rycerz Udon wiezie przednią straż. Ciemna puszcza, niezmierny las bukowy, na wysokich pniach zielony baldachim wyławia promie-

nie światła, na gruncie nawet zielona trawka nie rośnie; po podściółkach suchych liści droga łatwa i dobra dla zbrojnego tłumu. Roztoka stanęła pułkowi w drodze — żołnierze przebyli wodę, prastary bór z odwiecznych drzew roztacza się za wodą. Na powalonych burzą, a stoczonych grzybem sosnach, nowe sosny rosną, maszty proste jak świeca strzelają ku niebu.

— Patrz! Tu drzewo ścięte!

— Wyraźny ślad topora na zrębie.

— Las rzadszy, ręka ludzka śnać dbała o niego.

— Człowiek tu musi być.

— Cicho! Szum jakiś słyhać... to barć gra.

— Bartnik tu musi być. Przerzedza toporem las, aby pnie pszczelne miały więcej słońka.

Zbliżyło się wojsko.

— Co za niezmierna barć!

Las przedwiecznych sosen, które ze starości butwiały, a w każdej dziupli rój pszczelny. Puszczą cała wesolo gra w słońku gęźbą rojącego się owadu. Gdzie większa sosna i większy rój, człowiek w połowie pnia rusztowanie wystawił; krokwie do drzewa przybite, jakby most olbrzymi pień sosny otoczyły i dojdzie do roju łatwym uczyniły. Rusztowanie za rusztowaniem widać w puszczy.

— Bartnik tu mieszka.

— W ręce go dostać musim. Drogę wojskom wskaże.

— Widzicie, tam w głębi jego chata.

Widać chatę zbitą z tarcic drewnianych. Przed chatą na otwartym, słonecznym miejscu stoi kilka białych pni pszczelnych, słomiany chochół szczyty ich wieńczy. Przez szpary nędznej chatki przeciska się modry dym.

— Jest! Jest!

— Otoczyć go!

— Żywcem dostać!

Przyczaili się żołnierze — patrzą. —

Bartnik wyniósł ze schroniska dymiący czaplak, do pasieki z nim spieszy. Ujrzał, że ze sosny wyleciał ogromny rój pszczoł i zawisł na gałęzi. Ze wszech stron chłop je okadza, dymem chce uśpić. Dopiął celu, chwycił róg kozucha i zgarbia ręką pszczoły na podolek. Zabrał je wszystkie, niesie do nowo wyciosanego pnia, już ma pszczoły w ul wsypać, gdy wtem...

Rzucił wszystko na ziemię i co tchu przed wojskiem ucieka.

— Stój! Nie ujdiesz!

— Trzymać go!

Wpadł bartnik w leszczyne, dziesięciu ludzi za nim goni, — wnet dobiegł do rzeki, w odmet buchnął, w gąszczu kalin wypłynął, w młode świerki się chroni.

Dopadli go, na ziemię powalili.

— Zlitujcie się nade mną! Zlitujcie się!

— — — — —
Przed wodzem Udonem stanął bartnik odziany w kozuch sierścią na wierzch, w baranich ku-

dłach plątały się jeszcze pszczoły, które ze zmotananej wełny wydostać się nie zdołały.

— Daruj mi życie, panie — woła chłop płacząc.

— Coś ty za jeden?

— Wendem jestem, panie.

— Czy znasz tę puszcę?

— Z dziada, pradziada pszczoły tu hoduje.

— Czy wiesz którąś drogą do Polski prowadzi?

Chłop szeroko oczy otworzył zdziwiony.

— Do Polski? Do Polski chcesz iść panie?

— Nie inaczej.

— Do piekieł łatwiej się dostaniesz. Znojna to droga. Bagno za bagnem, lasy żmij pełne, rokitnice w puszcach topielą i śmiercią grożą.

— Pytam się, czy znasz drogę?

— Juści że znam. Stąd do Odry, potem brzegiem Pliszki...

— Poprowadzisz nas!

— Co? Ja?!

— Ty!

— A barć moja?

— Musisz porzucić barć.

— Co to za człowiek? — zapytał cesarz Henryk.

— Znalazłem przewodnika.

Dobyl monarcha kalety i kilka monet wręczył bartnikowi.

— Złotem cię obsypię, gdy u celu staniem.
Łapczywie chwycił chłop pieniądze, do pasa
skórzanego wsypał.

— Gdy zetrzem Bolesława, z chłopca panem
cię uczynię.

— To na wojnę idziecie? Z kim?

— Z królem Bolesławem.

— W kraj świata pójdę z tobą, panie, ale
nie wiedz mnie na straszliwą śmierć. Kto z Bo-
lesławem bić się idzie, ten na śmierć idzie.

Groźbą zmuszono Wenda, aby wojsko cesar-
skie prowadził. Miał chłop do wyboru: albo mie-
szek pełen złota, albo śmierć.

Wziął więc topór za pas i poszedł.

* * *

— Tydzień już idziem. Daleko ten Poznań?
Zaśmiał się bartnik.

— Pilno ci panie? Gdybyś miał skrzydła
do południa byś tam zaleciał.

— Tak blisko?

— Dla orła blisko, ale my ludzie, nie orły.

— Którędy droga?

— Przejść musim Odrę, potem do Obry doj-
dziem i Obrzycy...

— Chodźmy wprost!

— Prosta droga na śmierć nas prowadzi. Opa-
rzeliska na dziesięć mil długie, pojezierza, stawy,
moczary porosłe kwietną łąką, od której czarów-
niech Bóg uchowa. Gdy zwabiony trawnikiem wej-
dziesz, nogi grzęzną, ciało tonie, piekielna moc

ciągnie cię w odmęt niezgłębiony.

Straszne to pojezierze chorzewickie musimy ominąć. Pięć mil drogi nadłożyć. Potem Odra, bród i... Polska.

— W drogę więc.

— — — — —
Do Odry szła armja kilka dni.

— Wszak Polska na wschodzie, a ty nas na zachód prowadzisz.

— Nic to. Puszcę podszytą musimy ominąć. Nie przejdą konie, wozy nie przejdą.

Znowu podróż długa.

— Dwa dni szliśmy na północ, teraz nas na nowo na południe wiedziesz?

— Aby nie wleźć w błota, w które rzeka Słabica się rozlała.

— Dokąd teraz idziem?

— Zaraz zaczną się pagórki. Od pagórków dobierzyńskich znowu na północ pójdziemy. I na nowo żmudna daleka droga.

Bystro w oczy przewodnika spojrział hrabia Udon. We wzroku bartnika była prostota, prawda i uczciwość.

— Nie ufasz mi panie? — rzekł Wend smutno. — Ha! Może Odra, na której brzegu jutro staniem, przekona cię, że prostą drogą wojska twoje wiodę.

* * *
Przepawiła się armja. Kilka pułków wgląd Polski jako przednia straż ruszyło; przewodzi ry-

cerstwu Udon. Udoną prowadzi przez dziką puszcę bartnik.

— Pojutrze puszcę miniem. Za puszcą Libichów, za nim Zieleńczyk... —

— Wsie?

— Pierwsza wieś, drugie znaczne miasto.

— Żywności dostaniem?

— Jeśli Bolesław spaleniskiem i rudera ich nie zostawił. Gdyby je szczęśliwie przejść, wnet byłaby niezmierna puszcza, Bienieszewo i Obra, a nad Obrą wielkie opactwo w Międzyrzeczu, które Bolesław założył.

— Kościół wreszcie obaczym.

— Wielkie kamienne opactwo. Na miejscu, gdzie pięciu pustelników wymordowano, Bolesław opactwo założył. Ciała zakonników uroczyście w Gnieźnie pochować rozkazał.

— Puszcza głucha. Ruszajmy naprzód.

Ruszył bartnik naprzód, ku polanie wojsko wiedzie; blisko ona. Wend patrzy bystro przed siebie, serce mu młotem bije. Nagle zatrzymał się, jakby nadśluchiwał czegoś z dali.

Oczy wytrzeszczył, rękę przyłożył do ucha. Stał długo nieruchomo, jakby oddech w pierśsiach tamował.

— Czemu chłopie nie idziesz naprzód?

— Ściemnia się, nic przed sobą nie widzę.

— Huczy coś!

— To niedźwiedź! Niedźwiedź panie. Lomoce suche gałęzie świerkowe, sapie i mruczy.

— Stłumiony głos rogu słyszę...
— Nie! To niedźwiedź.
— Gwiżdże ktoś! Wyraźnie gwiżdże.
— Sowa w lesie huka. Chodźmy naprzód,
na polanę.

— Dziwnie szumi ten las. Co to jest?
— To stado żubrów przez las wali. Łamie
gałęzie, ziemia trzęsie się i dygoce.
Znowu ozwał się gwizd, raz, drugi i trzeci.
— Co to?
— Puszczyk w gniewie płacze.
— Dziwny strach w mem sercu.
— Nie bój się, miłośniwy wodzu. Chodźmy
obaj naprzód.

Wyszli dwaj mężowie naprzód. W gąszczu
leszczyn zatrzymał się bartnik. Stoi i słucha...

W grabinie zakwilił puszczyk.

— To znowu sowa woła samca — zwabię
ją, a gdy nadleci, strzałą ohydną wrózkę prze-
szyjem.

Włożył bartnik dwa palce do ust, wydał po-
liczki, a z drgających warg wydobył się przeraź-
liwy głos puszczyka. W lesie puszczyk odпові-
dział.

— Przez Boga żywego, puszcza gra hukiem
zbrojnego ludu...

— Zdrada!

— Milcz!

— Boże! Ty zaprowadziłeś nas...

Błysło żelazo. Bartnik rozwalił toporem głowę carskiego wodza.

Dzień sądu Boskiego, dzień krwi i śmierci. Ze wszystkich stron wojsko opadnięto. W straszliwej ciemności przednią straż wielkiej armji w pień wymordowano, pułki zewsząd otoczono, najprzedniejsze rycerstwo legło na sen wieczny.

* * *

Z pogromu uszedł cało przewodnik i kilku żołnierzy. Próżno nawoływał ich bartnik, aby poszli z nim razem życie poświęcić, pomścić pobitych braci; nie chcieli rady przewodnika słuchać, nie dobitki pędzą do armji przed oblicze cesarskie. Słonko wschodziło, gdy do obozu dobiegli; tam wrzało już wszystko oburzeniem i żalobą. Przewodnik ukazał radzie cesarskiej kożuch krwawy i topór, krzycząc:

— Otom zbuczony polską krwią!

— Udoń?

— W mych oczach poległ śmiercią walecznych.

— Tyś ich prowadził...

— Na zwycięstwo, nie na śmierć ich wiodłem, monarcho!

W radzie cesarza ozwał się głos podejrzania, który jednak nie znalazł posłuchu, ni wiary. Brunzjon przewodnika badał, winy w nim nie znalazł. Wywody wiernego Brunzjona potwierdziły wypadki, które w nocy zaszły.

Ubiegłego wieczoru tysiąc Wendów do obozu cesarskiego władcyka Borys przyprowadził, harfiarze z bożyszczami w rękach pułkom ich przewodzili, zapasy chleba i suszonych ryb ze sobą przywieźli. Kipiała i wrzała ta czerń zawziętością i nienawiścią do Bolesława Chrobrego.

Jeszcze raz chciała się rada o wierności przewodnika przekonać. Przed oblicze wendyjskiej starszyzny przyprowadzono bartnika.

— Czy wy go znacie?

— Zaświeciły się wilcze oczy Borysa, podejrzeniem przez radę cesarską przeleciały. Wnet wszystko pojał. Otworzył szeroko ramiona, leci na powitanie bartnika.

— Czy ja go znam? Przecie to Niezamysł, mój dziewierz, mój brat kochany! On postrzygł mojego syna!

— Krewni jesteście?

— Nie inaczej, wielki cesarzu. Dwie rodzone siostry poślubiliśmy, krasawice jak sosny smukłe, jako dziewanny dorodne. Czas nie zagoił serdecznych ran, lata nie osuszyły potoku łez.

— Pomarły?

Borys zapłakał.

— Zamordował je — zalił się — Bolesław Chrobry.

— On?

— Napadł na naszą ziemię, a gdy mężowie w pole wyszli, aby się bić z okropnym najeźdźcą,

to wtedy on łupił nasze opola, palił nasze chaty, mordował niemowlęta i kobiety bezbronne.

— Teraz kres jego zbrodniom!

— Na Poznań wprost ǳiemy!

Poszedł na wschód cesarz Henryk. Wodzowie przestrzegali, aby nie rozłączać wojsk i połączoną potęgą w granice Polski wkroczyć, przekonała ich jednak rada Borysa, że tego zamiaru zaniechali.

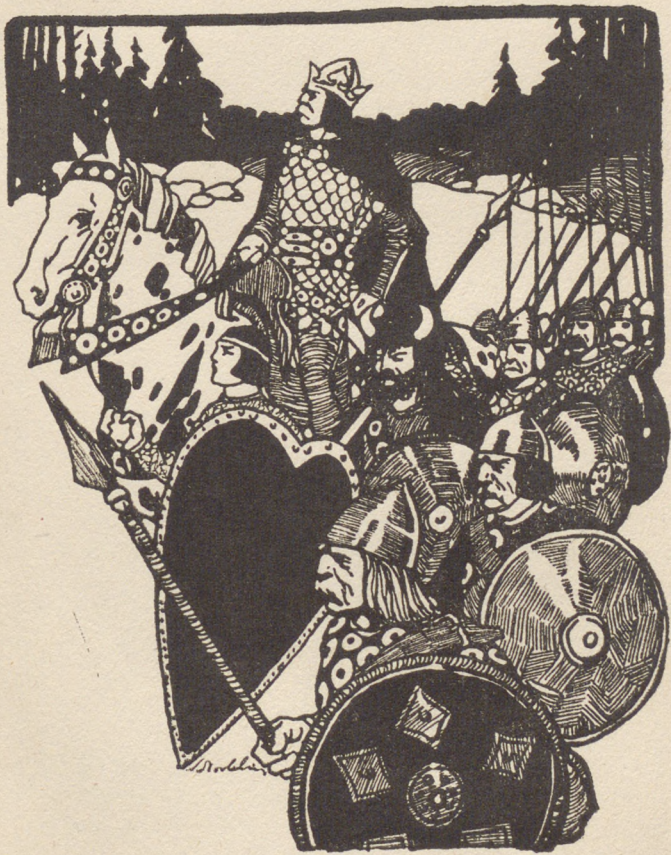
— Toć straszliwa gromada wymrze w drodze z głodu.

— Wozy z chlebem wnet znowu będą puste.

— Podzielić wojsko na dwie armje. Jedna od północy niech na Poznań ruszy. My zaś z południa przez Swiebodzin do Poznania pójdziemy. Dla dwóch mniejszych armij łatwiej o chleb, droga, którą wiem, pewnie nas wyżywi. Zejdą się wojska w Międzyrzeczu w bogatej polskiej ziemi.

Posłuchano rady Borysa. On, Niezamysł i władcykowie słowiańscy prowadzą wojska cesarza.

Wiodą ich dobrą drogą, obietnic dotrzymują, jednej tylko zadość uczynić nie mogą. Obiecanego chleba niema. Armja spotyka na drodze spalone sioła, puste opola. A znowu koniec leśnego gościńca, znowu przepaście, błota i parje. Idą od bagna do bagna, od puszczy do puszczy. Co chwila jezioro, którego brzegi okrążyć trzeba, co chwila okropny jar leśny, przez który wozów nie przeprowadzisz. Pomór dziesiątkuje wojsko, łucznicy Bolesława zabijają każdego, kto się od



Dniem i nocą szły wojska... (str. 103)

BIBLIOTEKA
BN
NARODOWA

armji oddali. Nie uśnie strudzony żołnierz spokojnie, bo Bolesław go niespodziewanemi napadami gnębi. Co noc napady budzą obóz ze snu.

Wojsko prowadzone przez Borysa i Niezamysła wśród ciągłych walk w ziemię polską wkroczyło. —

Wielka nieufność do Wendów wśród rycerstwa pierzchła, gdy największy wróg Bolesława i Słowiańszczyzny Brunzjon o wierności Borysa i Niezamysła cesarza przekonał. On ich ciągle śledzi, rozmowy podsłuchuje i bada.

Dostojny rycerz Brunzjon wołał na radzie cesarskiej, że gdyby nie ci dwaj Słowianie, gdyby nie ich przytomność, cesarz byłby zginął, a wojsko do reszty zmarniało.

— Na Poznań chodźmy! — woła wciąż Brunzjon. — Gada jadowitego w proch zetrzyjmy!

Że wielki rycerz dziedzictwa nie miał, ubogim był i oprócz szabli tysiące razy skąpanej we krwi wrogów, żadnego innego majątku nie posiadał, cesarz przeto jak może, tak męstwo jego nagradza, wielkie lenna po wojnie obiecuje. Już chciał oddać Brunzjonowi naczelne dowództwo, gdy przyszła do obozu wieść, która piorunem w radę cesarską wpadła, burząc w Henryku krew i wołając o pomstę.

Na krańcu obozu złapano człowieka w kmiecej polskiej siermiędze; rzucili się na niego pacholtkowie, aby go jako szpiega powiesić, gdy ten krzyknął:

— Jam wasz! Jam cesarski dziesiętnik Avicon.
— Ty?
— Ja! Z niewoli polskiej uciekam!
— Prawdę mówisz?
— Do cesarza mnie prowadźcie.
— Czego chcesz od majestatu?
— Czego żądam, wodzom jeno i cesarzowi
powiedzieć to mogę.

Stawiono jeńca przed oblicze Henryka.

— Nieszczęśliwie walczysz panie! A wiesz ty
władco, co jest twem nieszczęściem?

— Mów!

— Jurgieltnik Bolesława, Brunzjon.

Podniósł się wrzask.

— Oszalałeś!

— Nie wiercie mu, obłąkaniec lub oszczerca.

— Brunzjon to wielki wódz!

— Z całej duszy Bolesława nienawidzi!

— On? — zaśmiał się dziko Avicon — On?
pieniądze od niego bierze!

— Co ty mówisz?

— A wiesz władco, kto zamordował Udoną?

Ja wiem wszystko. Uczynił to drugi zdrajca, przy-
jaciół serdeczny Bolesława, Niezamysł.

— Rozum straciłeś!

— A wiecie, kto po bezdrożach wojska wie-
dzie, kto po puszcach i trzęsawiskach tysiące
ludzi wytopił, prowadzi na głód i śmierć? Borys!!
Gdzie krok postawicie, tam czeka na was Bole-
sław, uwiadomiony o waszem przyjsciu, gdzie on

ze zbrojną siłą stoi, tam wy ślecie oddział na mór, tam w paszczkę śmierci prowadzi was Borys, Niezamysł i Brunzjon!!

— Zacni to i wierni ludzie!

— Kłamiesz podle!

— Kłamię? Chodź więc monarcho, ujrzysz sam, przekonasz się naocznie.

— Igrasz ze śmiercią człowieka szalony. Gardło dadzą zdrajcy albo ich oszczerca.

* * *

Co noc wiedzie Avicon cesarza i biskupów na kraniec obozu. Dziesięć nocy napróżno chodzili. Przyszli raz pod nów, — wojsko w namiotach śpi, oszczepnicy tylko wieńcem ognisk rozległe obozowisko opasali.

— Dziś przyjdzie.

— Kto?

— Szpieg!

— Jakto? Wszak strażę czuwają!

— To zdrajcy! To żołnierze Brunzjona!

Milczkiem skoczyli pachółkowie, żołnierzom usta zapchali, w pęta ich spowili i w ustronny namiot zanieśli. Na posterunku zasiadł Avicon, cesarz i rada w namiocie się ukryli.

W gęstej grabinie szelest. Długa chwila minęła, nim w gąszczu zjawił się żołnierz.

— Tyś? — zaszeptał.

— Jam jest.

— Imię twe?

— Brunzjon.

Rozchyliły się gałęzie, wymknął się wojownik z grabiny, nie mówi nic ze strażnikiem, wnet znikł w lesie namiotów.

— Do Niezamysła — szepce Avicon.

Henryk i rada cesarska chyłkiem za dziesiętnikiem spieszy.

Przybysz wpadł do namiotu Niezamysła. Szept cichy, w mgnieniu oka wyszli ludzie — wnet wrócili. Lutycy ze wszech stron się schodzą. Wódz cesarski Brunzjon chyłkiem do namiotu Niezamysła wchodzi. Są wszyscy — radzą...

Cesarz chce na wojsko wołać, bunt stłumić, zdrajcę Brunzjona powiesić... Rada zabroniła.

— Czekać.

— Ujdą!

— Nie ujdą — mówi Avicon. — W głębi lasu wysłani żołnierze wszystkich połapią.

Z namiotu wyszedł Brunzjon — niespokojnym okiem patrzy, straży nie widzi.

— Gdzie straż? — szepce do polskiego przybysza.

— Posnęli. Niema o czem myśleć. Obóz śpi. Chodź — Zabierz.

— Gdzie...

— Mieczem skopałem ziemię, pod darniną ukryłem.

Wpadli do gąszczu. Wnet wyszedł Brunzjon. Ciężki miech niesie...

* * *

Sejm w kościele. Cała rada zebrana.

Zafrasowany cesarz zwrócił się do Brunzjona:

— W nieszczęściu mojem poradź ty, rycerzu wielkiego serca!

— Ufności! — woła Brunzjon. — Na Poznań chodźmy!

— A jeśli Bolesław nam odwrót odetnie?

Zaśmiał się szyderczo Niezamysł.

— Szaleństwem myśleć o takiej zuchwałości. Bolesław drży ze strachu.

— Tak jest — krzyknął Borys — Wiem, że uciekł z Poznania, w głąb Mazowsza się cofa.

— Brzegi Odry wolne? — pyta się Henryk.

— Wolne! Wczoraj wrócili stamtąd szpiedzy...

Wtem wszedł pachołek wysłany ze strażą do namiotu Brunzjona i wniósł miech...

Henryk rozwiązał rzemyki, spojrział na złote dukaty, na których było wybite imię i oblicze Bolesława.

Powstał, podniósł worek pieniędzy i rzucił w twarz Brunzjona.

— Na śmierć! — woła pijany gniewem cesarz. —

* * *

Wreszcie w obliczu śmierci i zagłady wysłał cesarz poselstwo, aby o rozejm, o wolny odwrót Bolesława prosiło. Z licznym orszakiem panów poszedł arcybiskup Tagino, pokłonił się przed Bolesławem i o łaskę pokoju prosił. Uzyskał ją.

Uzyskał pokój, którego warunki powitał cesarz ze łzami.

Niepomyślny układ boleścią cesarza wypełnił.

Przez Polskę, przez ziemie lutyckie i Branibor idzie tłum wynędzniałych ludzi. Głodem mra, płaczą...

Za wojskiem długi szereg wozów. Gdy Henryk runął na Polskę, były one napelnione złotem i żywnością. Dziś wiozą trupy pobitych rycerzy.

Nie na pogrzeb tu szedł Henryk, lecz po triumf, po pomstę! Radośnie w Dziewinie trąby grały, a dziś...

XII.

Wojna! Dowiedział się Bolesław, że cesarz znowu wyprawą na Polskę idzie. Uprzedzi go, w granice Polski nie wpuści, sam w dzierżawy niemieckie wpadnie. Wojska opuszczają Poznań, pułk za pułkiem przy głosie rogów i kotłów na zachód w świat daleki idzie.

Bez wytchnienia dniem i nocą szły wojska przez Kostrzyn i Buków. Przeszły przez Obrę i Odrę, przeszły przez mokrska Rogoźna i miękinie, idą w pospiesznych pochodach w głąb hawelańskiej ziemi. Dopiero we wsi Kolno, na pustkach przysiółka Berlin, Bolesław Chrobry dał ludziom dłuższy odpoczynek, około uroczyska berlińskiego niezmierny obóz rozbijając. Ostatni to już postój przed wojną, która zdumiewa błyskawicznymi poruszeniami wojsk, która świadczy o niesłychanej rzutkości, niesłychanej wytrzymałości i bitności wojska Bolesława.

Z Berlina zwrócił się król polski ku północy i ukarał surowo edelów lutyckich, którzy na rzecz Niemiec szpiegowali. Wycinając załogi niemieckie w pień, zdąża Chrobry ku południowi.

Przez Podrębie spieszy ku Łabie, ziemię saską błyskawicą przeleciał, dopiero pochód jego wstrzymała ogromna, srebrna wstęga Łaby. Przypadł do jej wód Bolesław, spojrzął na niemiecki kraj, który się za wodą rozlega, ogarnął go okiem, pożalił

się ziemi, w której słowiańskie chłopstwo w niewoli żyje; gniew w Chrobrym zawrzał. Zwrócił się do Łaby, przeprowił przez jej wody, uderza na prastary gród słowiański Dziewin, dziś stolicę niemiecką Magdeburg. W twierdzy popłoch i zamęt. Odsiecze cesarskie pobite, niemasz dla niemieckiej załogi ochrony, ni ratunku, wnet gród padnie przed straszliwym zwycięzcą, nawet cesarska ręka ogromnej warowni nie obroni...

Ale ją przed Bolesławem obronił święty Maurycy...

Bolesław posiadał włócznie świętego, a ten wielki patron Niemiec spoczywa w Magdeburgu, więc choć bramy grodu otworem stanęły, nie wszedł Chrobry do miasta. Ukorzył się przed majestatem rycerza Chrystusowego i od miasta odstąpił.

Wpadły teraz polskie pułki w głąb saskiego kraju, na Serbiszczę Bolesław je prowadzi. Wielkiej twierdzy bronią trzej waleczni wodzowie sascy: Ludolf, Tadilen i Tadi. Przypadł, Niemców wybił, mieszczan zniewolił. Grodno niemieckie zburzone, wodzowie do Polski uprowadzeni.

Wraca Bolesław na Śląsk. Podbił całe Łużyce, idzie na zabrane przez cesarza Budziszyn. Wszak niedawno przy zdobywaniu tej twierdzy wielu walecznych Niemców życie straciło. Marnie przelana krew! Krwią cesarz Budziszyn zdobył i teraz haniebnie go utracił. Gdy załoga ujrzała wojska Bolesława, uciekła zaraz z twierdzy.

Zdjęła żalność cesarza Henryka. Wieść za wieścią gońce niosą, coraz straszniejsze nowiny, coraz większe przygnębienie, coraz większy gniew, coraz boleśnieszka kolka cesarza w boku łamie. I upomniał cesarz książąt saskich, aby się przecie pomścili zniewagi. Posłuchali cesarza znakomici mężowie, dobył miecza magdeburski arcybiskup Tagino, wyruszył na wojnę w stal zakuty Thiethmar. Nieustraszone wojska mężnie idą na przód, ale gdy doszły na rzekę Nutę, pod miasto Jutrybóg, przemówił do wojska Thiethmar:

— Najmądrzej zrobimy, jeśli wrócimy się do domu!

Z niezmiernym zapałem przyjęło rycerstwo radę znakomitego wojownika.

Gęsto w lecie i w zimie przemyślał cesarz nad zgnieceniem Bolesława. Myśl zmienia się w czyn. Za wodzem swym, monarchą i panem znowu całe cesarstwo idzie na „okrutnego Słowianina“.

Z radością patrzy cesarz na niezmierną armję. Jak daleko okiem dojrzysz, roją się wzdłuż Łaby wojska, trzy mile długi ten tabor, granic nie ma ta ludzka czerniawa. Przy cesarzu kwiat rycerstwa, wszyscy biskupi Niemiec, tłum książąt, grafów.

Przeprawiło się wojsko przez Łabę i ku Polsce ruszyło.

Na stary sposób zaczęła się wojna obroną brzegów Odry. Na kilka mil stoi wojsko po obu

brzegach, gdzie cesarz brodu szuka, tam zjawia się konnica polska, drogę zagradzając, wstępu i przeprawy broniąc. Dokąd tylko Niemcy zwrócili się na rączych łodziach, tam wszędzie Bolesław na skrzydlatym ścigał ich koniu. Aż wreszcie wszystkie rozwinawszy żagle, płynęli cesarscy cały dzień, tak, że Polacy nie zdążyli ich doścignąć. Wtedy bezpiecznie wysiedli na brzeg i wsie naokoło podpalali.

Wtedy Bolesław cofnął się w głąb kraju.

— Otucha w nas wstąpiła — mówi Thiethmar. —

Jednak tę otuchę zaczęły ludzi wiadomości, jakie nadchodziły. Na północy rozbił Bolesław lewe skrzydło cesarskie. Bawarowie, idący na Polskę z południa, natknęli się na polskie wojska i przysłali gońca, że z wielu przyczyn nie mogą połączyć się z cesarzem. W olbrzymiej armji cesarza zapanował strach naprawdę dziwny; gdyby Bolesław stał przed nimi i opór im stawiał, byłoby w sercu więcej odwagi i więcej nadziei. Znają oni bolesławowskie sposoby, znają chytrego wojownika „który umie wyprawiać tysiące sztuk“.

Ta bezludna ziemia, te opustoszałe chaty, kraina, która otworem przed wojskiem niemieckim stoi, straszy i przeraża... Oni wiedzą, że król polski jest jako piorunowa chmura wisząca nad światem, nie wiesz gdzie nieszczęście spadnie, nie wiesz, w którą chatę, w które drzewo uderzy.

I znowu jak dawniej, myśli cesarz Henryk o odwrócie.

Odwrót! —

Przeszedł cesarz Odrę, ucieka ku czeskiej granicy; wnet dopadł brzegów Bobra i wszedł do ziemi Dziadoszan.

Trzeba dać zmordowanym ludziom chwilę wytchnienia, choć jedną noc spocząć, trzeba siły zebrać na dalszą drogę przez bagna i rzeki.

Przybył cesarz do Iłwy. Wśród bagien las, w lesie barć pszczelna i chatenka bartnika. Trzeba nocleg znaleźć dla władcy. Wyrzucono z chaty bartnika, zamordowano go, krew kmiecia buchła na próg, przez który wszedł na noc do chaty cesarz Henryk.

Jak kruki lecą ze wszech stron żałobni gońce, jak puszczyki wróżą śmierć, napad Bolesława na armję cesarską zwiastują. Henryk stracił ducha, wpadł w rozpacz, ale dzielne rycerstwo jego nie utraciło męstwa, ni zimnej krwi. Sławny Widredi staje na czele wojska, wielcy wodzowie Fryderyk, Adelheid i Iro stawiają wojska do bitwy. Wszak armja ta większa jest od wojska polskiego, wszak to żelaźni rycerze, a nie chłopstwo, z którego Bolesław stworzył rdzeń szeregów.

Zadzwońiło złoto, rozsypując się po kamiennej posadzce kościoła.

Przykład i męstwo wodzów dodało wojsku ducha.

Wpadł Widredi na czoło polskiej armji, miecz jego czyni spustoszenie wśród łuczników polskich, na widok złamanej linii tłum żołnierstwa leci w szczybę, zachwiał się i rozsypał polski pułk, jakby popłoch wśród armji zapanował, pogrom im, zwycięstwo Niemcom wróżąc.

Zwycięstwo Widredego było jak ów ostatni promień zachodzącego słońca, co nie światło, ale noc wróży...

Trąby się w pułkach Fryderyka ozwały, prowadzi rycerstwo brzegiem Czerny, w pół godziny dostanie się do Bobra, okrąży prawe polskie skrzydło, tyły zajmie i wojskom Bolesława odetnie odwrót.

Zdala dolatuje gwar bitwy i pomruk tysięcy ludzi, krzyki i jęki, jakimi płacze płonąca wieś.

Dziwna rzecz. W lasach nad Czerną pustka, Bolesław strąży nawet nie rozstawił. Przyszli do Bobra, Fryderyk zwiady brzegiem rzeki wysyła; wrócił goniec, wygląd jego straszny...

— Co to? Natknąłeś się na wroga?

— Nie, panie. Śladu wojsk nad Bobrem nie masz.

— Nie napadają nas?

— Nad Bobrem wolna i otwarta droga.

— Czemuś taki przerażony?

— Odwrót nam odcinają, panie!

— Jakto?

— Puścili nas podstępnie, aby odciąć od głównej armji, aby rozdzielonych wysiec.

Słowa tysiącznika potwierdził straszny krzyk i pomruk ludzki. Obejrzał się wódz na prawo — wojsko polskie...

— Uciekać! — krzyknął.

Dwa staje poleciały pędem wojska. Fryderyk chce wrócić brzegiem Czernej, tą samą drogą, którą przyszedł. Zbliżył się do gęsto zarośniętego brzegu.

Z leszczyn wyleciał grad kamieni, chmura strzał wojsko powitała. Broni się rycerstwo, wnet jednak wobec przemożnych sił ustępuje, brzeg Czerny opuszcza, w olszę się cofa.

Chłopi sprawiają kosami wśród rycerstwa straszną rzeź. Wpierają uciekających w bagna.

Popłoch, pogrom, śmierć! Jeszcze słońko do brze nie wyszło nad lasy, gdy pod toporami chłopstwa padło prawe skrzydło wielkiej armji. Mnóstwo sławnych rycerzy padło.

Wojska zaczęły się cofać przez moczary.

Przyleciał z płaczem do cesarza pacholek i woła:

— Odwrót odcięty! — Chłopstwo przejścia broni!

Chwyciła cesarza rozpacz. Z garstką doborowego rycerstwa rzucił się na chłopstwo, większą część rycerzy czerń wysiekła, ale cesarz zdołał uciec. Oddało rycerstwo życie za swego władcę, drogo sprzedali krew, uratowali cesarza. Dwóch jego obrońców zdołało ująć, giermek monarchy i arcybiskup Gero. Lecą jak wicher po stepach,

uciekają. Za piątą wsią zatrzymali się, tam, gdzie już nie dochodził szcęk oręża. Zdjął arcybiskup krzyż stalowy i gorzko zapłakał. Płakał, że nie mógł znaleźć pociechy dla władcy...

A przecież tam biją się dzielnie wojska cesarskie.

Ale na nic ich odwaga, wobec mnóstwa chłopów Bolesława, wobec ich zaciętości i nieustępliwości.

Nie walka to już, lecz klęska i rzeź. Chłopi koszą motłoch. Topią się ludzie w jeziorze, ludzie płyną z falami rzeki.

Tam tyle żołnierstwa, że zatamowana ciałami woda wzbiera, tam potokiem płynie nie woda, lecz krew.

Płacze dziejopis niemiecki, patrząc na straszny pogrom swego narodu.

* * *

Goniec za gońcem ze wschodu leci, o wyruszeniu Jarosława ruskiego na Polskę wieści przynosi. Wysłał Chrobry królewicza Mieszka, aby ścigał cesarskich niedobitków, aby z band zbójców połabską oczyścił ziemię. Mieszko wpadł nad Łabę, w zwycięskim pochodzie aż do Myszy się posuwa, kiedy ojciec jego w pospiesznych pochodach idzie na Ruś.

XIII.

Tu już dawno wojna na granicach Polski się toczy; Jarosław silnie wierzy, że król polski z dwóch stron napadnięty, ulegnie i startym zostanie. Książę kijowski łowił spokojnie ryby na wędkę, gdy się dowiedział nowin, które marzenia jego w ruinę zamieniły, gdy usłyszał, że Bolesław, powaliwszy cesarstwo, na niego idzie.

Gdy Włodzimierz umarł, Ruś była wrzątkiem i ogniskiem bratobójczej wojny; gdzie spojrzy polska królowna, tam wróg, lud wrogiem jej wiary, rzymskiej wiary, a brat Świętopelka, Jarosław czeka tylko na sposobność, aby mu Kijów wydrzeć. Wreszcie zgromadził wielkie wojsko i poszedł na Kijów. Pobił Świętopelka na głowę, rozpierzchły się niedobitki wojsk księcia kijowskiego, a on sam ucieka.

Zwyciężył Jarosław, ale wie, że pomsta Bolesława go czeka, wie, że król polski przyjdzie ratować z jego rąk dziecko swoje.

To też gdy przybyło poselstwo niemieckie, na oścież otwiera ramiona. Zawarto sojusz. Nad Polską wisi straszliwa chmura, z dwóch stron idą wrogowie. Niemcy i Ruś ślą wojska wielkie.

Zwołał Jarosław nowogrodzian, kijowian i warégów, idzie nad Bug na spotkanie Bolesława.

Nadeszły wojska polskie. Król każe stawiać mosty na Bugu. Mozolnie i powoli idzie robota, wezbrane wody niszczą pracę cieśli, pale, przęśla i deski zabiera hucząca fala. Otucha w ruskich i wargskich pułkach, ufa Jarosław w siły olbrzymiego wojska. Wszyscy pewni zwycięstwa. Nawet stary, ostrożny Błudyj wierzy w nie, pewny jest wygranej, dworuje sobie z wroga, z polskiego wojska się naśmiewa.

Lipcowym rankiem wyszedł na brzeg rzeki Jarosław z Błudyjem, patrzą na obóz polski, słuchają huku ciesielskich siekier, które na drugim brzegu mosty budują.

— Patrz! znowu im woda ligary zabrała.

— Spadły deszcze, Bug rośnie, śmiercią i stratą grozi.

— Marnieje ich dzieło.

— Co to? czy widzisz?

— Strojnego rycerstwa orszak z obozu polskiego wychodzi.

— Do brzegu się zbliża.

— Na białym koniu olbrzym jakiś...

— Wielki i ciężki, że koń się pod nim ugina.

— To Bolesław!

Zarehotał Błudyj urągliwie na widok wroga, przypadł nad wodę, ręce do ust nakształt wylotu trąby stulił i woła z szyderstwem:

— Chodźże tu, Bolesławie! Już my ci tu twój tłusty brzuch rozporzem!

Dosłyszał śnać Bolesław obelżywych słów,
kazał w kotły uderzyć i rzekł do wojowników:

— Czy słyszeliście?

— Bezczelny łotr!!

— Jeśli wy — zawołał Bolesław — nie pomścicie tej zniewagi, to ja sam zginę.

I skoczył Bolesław na wezbrane wody. Krzyk straszliwy podniósł się w obozie.

Wodzowie za panem skoczyli w spienione fale,
wszystko, co żyje, idzie w bród, kilka tysięcy koni
się przeprawia, kilka tysięcy pędzi w nurty rzeki.

Ucieszył się zrazu Błudyj.

— Potoną!

— Poszli na śmierć!

— Woda ich uniesie!

— Wytopi...

— Bolesław już na środku rzeki! — woła
Jarosław.

— Walczy z odmętą topieli.

— Ginie!

— Życiem szalony czyn przypłaci.

— Co to?

Patrzy Jarosław, oczy z orbit wychodzą, dech
wstrzymał, walkę Bolesława z żywiołem okropnym
śledzi, na twarzy jego maluje się naprzemian to
strach, to nadzieja.

— Gruntu dostał!

— Ratunku!

— Do broni!

Wrzawa straszliwa w ruskich szeregach. Jarosław nie zdołał uszykować się, gdy w obóz wpa-
dło bolesławowe rycerstwo. Krótko trwał opór,
długo trwał pościg. Poległo niezmierne mnóstwo
uciekających, a bardzo mało zwycięzców; jak wiatr
tumany kurzu, tak Bolesław pędził rozgromione
wojsko przed swoim obliczem. Jarosław z kilku
zaledwie rycerzami uszedł do Nowogrodu.

Szczera, ze serca pochodząca musiała być ra-
dość ludu ruskiego, który, jak kronikarz niemiecki
twierdzi „witał z wielkiem poszanowaniem Boles-
ława i mnogiemi czcił dary“. Król polski szedł
tam nie jako nieprzyjaciół, aby zdobywać i zbie-
rać pieniądze; był witany przez wszystkich miesz-
kańców, nad którymi ciążyła krwawa ręka nor-
mańskich kuningów.

We Włodzimierzu, Wyszogrodzie i Kijowie
łała się przez długie lata krew, a zabójstw tych
nie dokonał Słowianin, lecz dzicy Normanowie.

W trzech tygodniach zapanował Bolesław
nad słowiańską Rusią. Kijów, niezmierne miasto,
„najkosztowniejszy klejnot“ Wschodu, równający
się samemu berłu carogrodzkiemu, to ostatni
cel jego zwycięskiego pochodu.

Wyszedł arcybiskup kijowski, niosąc relikwie;
u wejścia do monasteru świętej Zofji duchowień-
stwo złotem i purpurą błyszczące wita zbrojną
drużynę.

Wjeżdżając w złote wrota, ciął Bolesław Chrobry mieczem w bramę na znak, że Ruś do wielkiej rzeszy słowiańskiej przyłączona.

Nie podbił Rusi, nie zagarnął jej, nie wydarł dziedzictwa ludowi, nie narzucił jarzma, nie zabrał swobody, nie narzucał swojej wiary. Pierwszym jego czynem w Kijowie było wysłanie poselstwa do krwawego cesarza w Carogrodzie, Bułgarobójcy. Grecki władca Bazyli piętnastu tysiącom Bułgarów, Słowian, kazał oczy wylubić, a każdej setce zakrwawionych ślepców zostawił przywódcę, któremu wydarł tylko jedno oko, aby okaleczonych ludzi był w stanie do domu odprowadzić.

Ostrzega go Bolesław i grozi wojną „od potężnego wroga, który nigdy nie był zwyciężony“.

Pierwszym jego czynem w Kijowie jest bicie pieniędzy z ruskim krzyżem i ruskim napisem na znak, że to niezawojowana, nie podbita, ale złączona ze Słowiańszczyzną ruska ziemia, na której on, wielki budowniczy Słowiańszczyzny, ruski język jako panujący tu uznaje.

Zasiadł Bolesław na kijowskim tronie, ujął w rękę miecz. Ten żelazny Szczerbiec olbrzyma Słowiańskiego stworzył i zlutował państwo od Dunaju po Gdańsk, od Łaby za Dniepr, od Bałtyku po morze Czarne.

Ten żelazny ogromny Szczerbiec — to błyszczący proporzec, pod którego znakiem Polska, Ruś, Morawianie, Pomorzanie, Słowacy, Słowini,

Serbi, Lutycy i Połabianie złączyli się w niezmiernie rodzinne koło.

* * *

Gwiazda zaranna wywołuje ją z pałacu poznańskiego, chłód wieczora zmusza, aby do dziewczęcej wróciła izdebki. Piękne oczęta królowny Dobroty na zachodnie lasy patrzą, ucho nadśluchuje, czy szczęsna wieść z polu, bitwy nie nadleci, serca jej nie rozraduje, duszyczki jej nie pocieszy. Na wojnę poszedł sercem wybrany, serduszko królowny tam za Śląsk, za Łużyce leci, leci nad Łabę, gdzie krew ludzka się leje.

Z pod Lubusza przyleciał goniec. Spieszy na pokoje królowej Emnildy, opisuje oblężenie i wzięcie Lubusza.

— Niezdobyte grodno wzięte! Twierdza przeciw Polsce zbudowana w perzynę i popioły zamieniona!

Mówi goniec o chwale i radości Bolesława.

Aż drży z radości serce królownie, że Bóg ukochanemu rodzicowi szczęści, że błogosławi słusznej i uczciwej sprawie. Cieszy się ze zwycięstw Polski, cieszy się, że ta Polska dziś po Łabę sięgająca, bratnie przygarnęła ludy.

A przecie Dobrota jeszcze jedną wieść słyszećby chciała, chciałyby gońca zapytać, ale jakoś nie może — wstyd. —

— Pierwszym był na murach król Bolesław Chrobry, za nim wdarł się Stoigniew, który spustoszenie wśród oblężonych rot uczynił.

— Mów jeszcze, mów!

— Choć Stoigniew był chory...

— Chory?

— Tak było w istocie. Podczas bitwy wyszedł na drabiny, z przednim jakimś rycerzem bił się na murach, gdy miecze prysły, chwycił go wpół i na dół zleciał, wszystkie kości Niemcowi ciężarem ogromnego ciała druzgocąc.

— Mów... —

— Wenetnik Lestek przez pana naszego rycerzem państwa polskiego pasowany!

Przyłożyła królowa ręce do piersi, przycisnęła Dobrota serduszko... do oczów pchają się łzy... jeno wybuchnąć płaczem radości... szczęścia niezmiernego.

— — — — —
Uciekła. Do izdebki dziewczęcej bieży, przed Chrystusem upadła i modląc się, za błogosławieństwo dziękuje.

Przyszedł goniec jeden, drugi i trzeci... —

— Zwycięstwo! Zwycięstwo!

Za gońcem wojska lecą, wojska radośnie wolaają:

— Zwycięstwo!

Przeszły wojska, przez Poznań, do Kijowa przeszły... —

— — — — —
Ostatnia rota Poznań już opuściła, na zachodzie ścichł las, który szumem zbrojnego ludu huczał.

Od kilku dni blada jak gielezko królowna. Oczy jej jako jesień piękne i jako jesień smutne...

— Wszyscy z wojny wrócili?

— Nie. Bolesław zostawił mnogie rotty nad Odrą, zdobywają Białogóry. Dziś się dowiedziałem, że wpadłszy między Łabę i Milde, tysiąc jeńców zabrali. Królewicz Mieszko...

— Brat mój...

— Niemczy broni. Niemcza gród potężny, ale potężny jest i cesarz, który gród oblega. Ogromne maszyny oblężnicze zbudowano. Mieszko maszyny w oczach cesarza spalił...

Wrócił z niemieckich wojen królewicz Mieszko. Dobrota rzuciła się w ramiona brata serdecznie witając, że zdrow, że cały, serdecznie Bogu dziękując... A przecie choć z radością brata wita, to w oczach jej pytanie, usta drżą, oczy niespokojnie brata pytać się kwapią...

— Zwycięstwo, mówisz...

— Zbici Niemcy, pokój w Budziszynie zawarty.

— Dużo naszych zginęło?

— Niespełna tysiąc. Wieczne światło niech im da Bóg.

— Zdrowiż wodzowie?

Posmutniał Mieszko.

— Poległ Wdały Walgierz, poległ Stoigniew.

— Rycerze?

— O kogo mnie siostró pytasz?

— Lestek...

— Zabity!

Poszedł Lestek z chłopstwem na wojnę, przeciw cesarzowi poszedł, poszedł pomścić ojca, mękę matki i sióstr.

— — — — —

Poszedł walczyć o wolność swojej ziemi, poszedł wydzierać ją Niemcom, poszedł i więcej do swojej królowy nie wrócił...

— — — — —

Nie wierzyła bratu, nie wierzyła ludziom. — Opowiadano, że Niemcy go żywcem złapali i straszne tam męki wycierpiał — nie wierzyła. Nocami płacze, a równo z gwiazdą ranną wybiega Dobrota przed pałac, na zachód patrzy.

Z zachodu nikt nie wraca, nikt...

Wysłała ludzi. Poszło kilku zbrojnych, poszli do Dziewina, poszli do rodzinnej Lestka wsi.

Przecie cała wieś go znała...

Wskazali mogiłę — zarosła już, powój rośnie na grobie, rozmaryn się zieleni, przynieśli królowie gałązkę rozmarynu, który wyrósł na Lestka mogile... —

XIV.

Potrzeba ci, Bolesławie, błogosławieństwa Boga i ludzi. Oto wielki dzień się zbliża, dzień w którym Polska stanie w wielkich europejskich mocarstw rzędzie, w którym prawnuk kołodzieja Piasta złotym diademem skroń swą uwieńczy.

Z Poznania przeniósł Bolesław Chrobry stolicę do Krakowa, aby być w środku państwa, aby mu równie blisko było do Dunaju, do Dniepru i nad Łabę. Oto wszystkie krakowskie dzwony biją, z całego kraju rycerstwo się gromadzi, lud ze wsi i przysiółków się schodzi. Stoki Wawelu bielą się od chłopskich siermiąg, Śląsk przybył do Krakowa, lud z Mazowsza, z ruskich granic i z gór karpackich lud, który z orłami żyje u śnieżnych Tatr.

Zwiedzieli się, że dziś najlepszego ojca chłopów koronują, nawet komornik, nawet nędzarz, nawet biedna wdowa i wszelka chudzina do Krakowa przybyła. —

Wszyscy polscy biskupi w katedrze krakowskiej zgromadzeni modlą się do Ducha Świętego:

— Zstąp z niebios, Stwórco Duchu Święty!

Wiosna się budzi, ciepły wiatr zawiał, wszystko do życia wstaje, wszystkie jestestwa ziemi słoneczko ciepłe do bytu, do szczęścia, do radości woła.

Wschodzisz ty, pamiętna wiosno, jasnością niezmierną błyszczysz ten polski kraj, to bolesławowskie dziejów naszych zaranie...

Polska już nie lennem cesarskiem, Polska
mocarstwem. —

Roku 1024 arcybiskup Hipolit Ursinus, rzy-
mianin, namaścił Bolesława, skroń jego polską
koroną uwieńczył.

Huraganem radości przeleciała wieść przez
rzesze ludu nad pomazańcem Pańskim i jego lu-
dem, nad Krakowem i Wawelem, nad Polską
i złączoną pod ramieniem Szczerbca Słowiańszczy-
zną, świeciło wiosenne słońce.

* * *

Nie umarł. On zasnął. Złożył senną głowę
i czeka zmartwychwstania. On, pionier Chrystusa
o gorejącem sercu, opiekun kultury chrześcijań-
skiej, Bolesław, za życia obcował ze świętymi. Do
takich jak on, rzekł Jezus: uwierzyłeś we mnie,
żyć będziesz na wieki.

On, wykonawca woli Jezusowej, on, „Atleta
Chrystusów“, on, rycerz wielki i człowiek o sercu
gołębiem, on, opiekun biednej wdowy i każdej
chudziny, — nie umarł.

— Nie wierzysz, filozofie?

Porzuć mędrca szkiełko i oko i idź między
polski lud. Przyłóż tve ucho do prostaczej piersi,
słuchaj tętna prostaczych serc, idź w Tatry, słu-
chaj chłopstwa, dowiesz się, że on nie umarł!

Zasnął.

Wszedł w granity, wprowadził w Tatry rycer-
stwo swoje, swe wielkopolskie mieszczańskie puł-
ki, orężnych kmieci swoich, wstąpił w bezmierne

podziemia i tam, w Tatrach, śpią polscy rycerze. Wstanie kiedyś, aby zbudować słowiańskie cesarstwo swoje.

Budzi się... —

Budzi się, gdy lud płacze. Wstaje z martwych, gdy biednych niedola gniecie. Widział go na oczu lud, cuda o ukochanym wodzu, o najlepszym ojcu powiada... —

— — — — —
Ostatni raz widzieli go ludzie, gdy straszne nieszczęście spadło na nowotarską dolinę. Ziemię wody zalały, Pieniny — to niezmiernego jeziora brzeg; z żyznych pól i łąk stało się morze. Uciekł na góry zgłodniały lud, nędzę cierpi kmieć, płacze uboga wdowa i żali się chudzina...

Wstał z martwych... —

Z przepaści tatrzańskich wyszedł olbrzym straszliwy. Gdy stanął na reglach i wsparł się o Giewont, nie wytrzymał wirch mocy olbrzyma, pękło skalisko, Giewont się wyszczerbił. Wstaje król. Głowa chmur dotyka, w chmurach błyszczy się złota jego korona. Cud się dzieje niesłychany. Oto mąż na Tatry wychodzi: jedną stopą na Garłuchu stanął, drugą nogą stąpił na Babią górę. W lazury niebieskie podniósł straszliwy szczerbaty miecz i rąbnął z całych sił w Pieniny. Prysło skalisko na pół, rozpadł się szczyt Trzech koron, w szczerbę leci woda, która Dunajcem wśród Pienin spłynęła. Leci do Wisły, Wisłą

w dalekie morze, żyzną góralstwu zostawiając ziemię.

Zbudzi się, gdy przyjdzie wielki dzień, gdy przyjdzie czas, aby myśl jego ciałem się stała. Tysiąc lat temu zrodziła się genialna myśl w wielkiem sercu Bolesławowem, dziś nie jedno, dziś sto milionów serc dla tej idei bije. Od Łaby po Kaukaz, od Wisły po Bałkan, od Północnego oceanu po Greckie morze.

Dziś wschodzi Bolesławowska myśl w sercach stu milionów, a narody Europy na widok zjawiającego się słowiańskiego olbrzyma, drżą i bledną z trwogi.

Nie bójcie się! Wschodzący już słowiański olbrzym ma w piersiach kulturę Chrystusową, on ma serce czyste i gołębie, takie, jakie miał Bolesław Chrobry. Olbrzym ten nie wie, co to zemsta, nie wie nawet co to kara, on wie tylko, co sprawiedliwość. Olbrzym słowiański, co z Tatr zmartwychwstanie, będzie opiekunem wdowy i każdej chudziny...

Dziewięćset lat temu! Morze łez, morze krwi się wylało. Rozkazał Bolesław, nie posłuchano rozkazu jego. Nie słuchały narody woli jego, oto Wenedzi wymarli, oto wymordowano wielkie słowiańskie ludy tam, gdzie dziś Hamburg, Brandenburg i Berlin.

Powiedz nam, Łabo, ile z twemi wodami spłynęło słowiańskiej krwi!

Nie posłuchano rozkazu Bolesława i oto lud Słowińców nad Bałtykiem kona, oto Soraby łużyckie żelaznym pierścieniem wrogów opasani, oto dziedzice Gerona idą w Polskę.

Słuchajcie Wenedzi, słuchajcie Słowianie!

Oto od tysiąca lat leci z Tatr głos, oto polski król na was z kościołów granitowych nawołuje, oto rozkaz jego i polityczne wskazanie, które padło z jego ust dziewięćset lat temu:

„Zaprzestańcie waśni i połączcie się“.

* * *

Pokolenie idzie w Tatry za pokoleniem.

Zasnęli w granitowych kościołach ci, co pod Lignicą za wiarę, za kulturę Zachodu życie dali, ci, co byli pod Grunwaldem i ci, co za Chrystusa pod Chocimem i Wiedniem polegli...

Zasnął król chłopków, który Polskę gotycy kościołami zabudował, i jasna królowa, która za sprzedane klejnoty ufundowała krakowską akademję. Za Chrobrym poszli Jagiellońscy dziedzice, poszli pieśniarze i mistrze słowa i ten, co dla ludzkości wydarł tajemnice nieba, wielcy królowie i większy od królów hetman, co w białym chodził żupanie.

Gdy nie stało tych, co nieśli miecz, poszli w Tatry ci, których geśl sercem ludu władała... — Śpią w Tatrach.

Widział ich na własne oczy górski lud.

„Zdawna u nas bęła ta gwara między ludziami o zaśnionem wojsku. Ba, przecie bęł taki

kował w Kościeliskach, co im chodził konie kuć. Przetę raz wojak do niego, jużci pada:

— „my haw nie prec w Ornaku stoimy, pudziesz nam konie kuć“. —

Narobił moc podków i poset z owym wojakiem, a hań w Ornaku, po pod skałę, kryjome miejsce, wleźli do tej piwnice, godna tego bęła przestronność, toz to moc wojska na koniach stoi, sytko zaśnione w siodłach, głowy poschylane na piersi, pojeden siedzi przy koniu na ziemi, powódki dzierży w ręcach i śpi.

Kował od strachu nic nie pedział, ino chodzi wartko od konia do konia, podkuł sytkie, pieniądze mu dali, co mu się patrzyło, toz to poset — i zawarło się za nim...

A Franek Kostka ze Siziny, znałek go, dobry gazda, kowała we wsi ku niemu nie było, to mi tyz gadół, jako raz poset, cy z chałupy do pola wyzreć, cy kany, a tu widzi na trynestu koniak jakiści wojaków. Jużci pyta: „a to panowie z precka?“ — Ni, pojedem, my tutejsi, my jest wojsko polskie, nie prec z tela w Babigórze stoime, kie pora przyjdzie, królowi swemu na pomoc pudziemy“.

— — — — —
W grudniową noc śnieżycą szaleje, tuman śniegu z lodowego szczytu odrywa, na Garłuch je przenosi, białym całunem hale i regle zasypuje.

W stary rok herold na Garłuchu się zjawił, na północ patrzy, w stronę Krakowa ucho wyteża.

Słyszcy.

Oto na marjackim kościele zegar dwunastą bije, wleciał herold w ziemię, zadał w róg, w tu granitowych kościołach echo się rozległo, zatrzęsły się Tatry od chrzęstu broni, oto wojsko z martwych powstaje. Wstają co rok husarze i królowie wstają, chłopstwo kosa chwyta, wstają barwni ułani. Garłuch, Łomnica i Lodowy krociami duchów zaludnione. — —

Patrzą na szeroki kraj... Cisza, cisza wielka.. a potem płacz...

Wstąpił Jagiellon na granity i woła:

— Wszak mi margrafie przysiągłeś wierność na rynku krakowskim! Coś uczynił wiarołomny sługo mój?!

— Ciepłem mojej piersi odżyłaś źmijo! — żalił się wódz o odwadze lwa, o duszy gołębia...

— Czemu cię konającą do życia wróciłem, czemum cię gadzie ogrzał ciepłem pod Wiedniem przelanej krwi? Czemu?!

Patrzą poznańskie pułki w dziedzictwo, tam na Odrę...

— Boże!!

— Płacz ludzki słyszę...

— Tam nad Wartą dzieci nasze biją... —

Bóg nas naprawdę opuścił.

Płacz... Płacz...

— — — — —
Osuszył łzy serdeczne ojciec chłopa, opiekun wdowy, każdej chudziny. Ujął Bolesław Chrobry za rękę lirnika, co miał harfę złotą i serce złote. Wpro-

wadził wieszczka z Czarnolasu między hetmany i króle i rzekł:

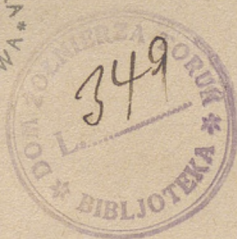
— Spiewajże bracie, pieśń twoją.

Zadźwięczały złote harfie struny, od tej czarownej harmonji ścichła śnieżycą Tatr, zamarły wichry, cała ziemia słów serdecznego gęslarza słucha. Leci ta pieśń, na Kraków, leci Wisłą aż do morza, oto lasy polskie jej pieśnią grają, w huku spadających w przepaść tatrzańskich wód gra ta pieśń, pieśnią tą huczy pod Gdańskiem polskie morze:

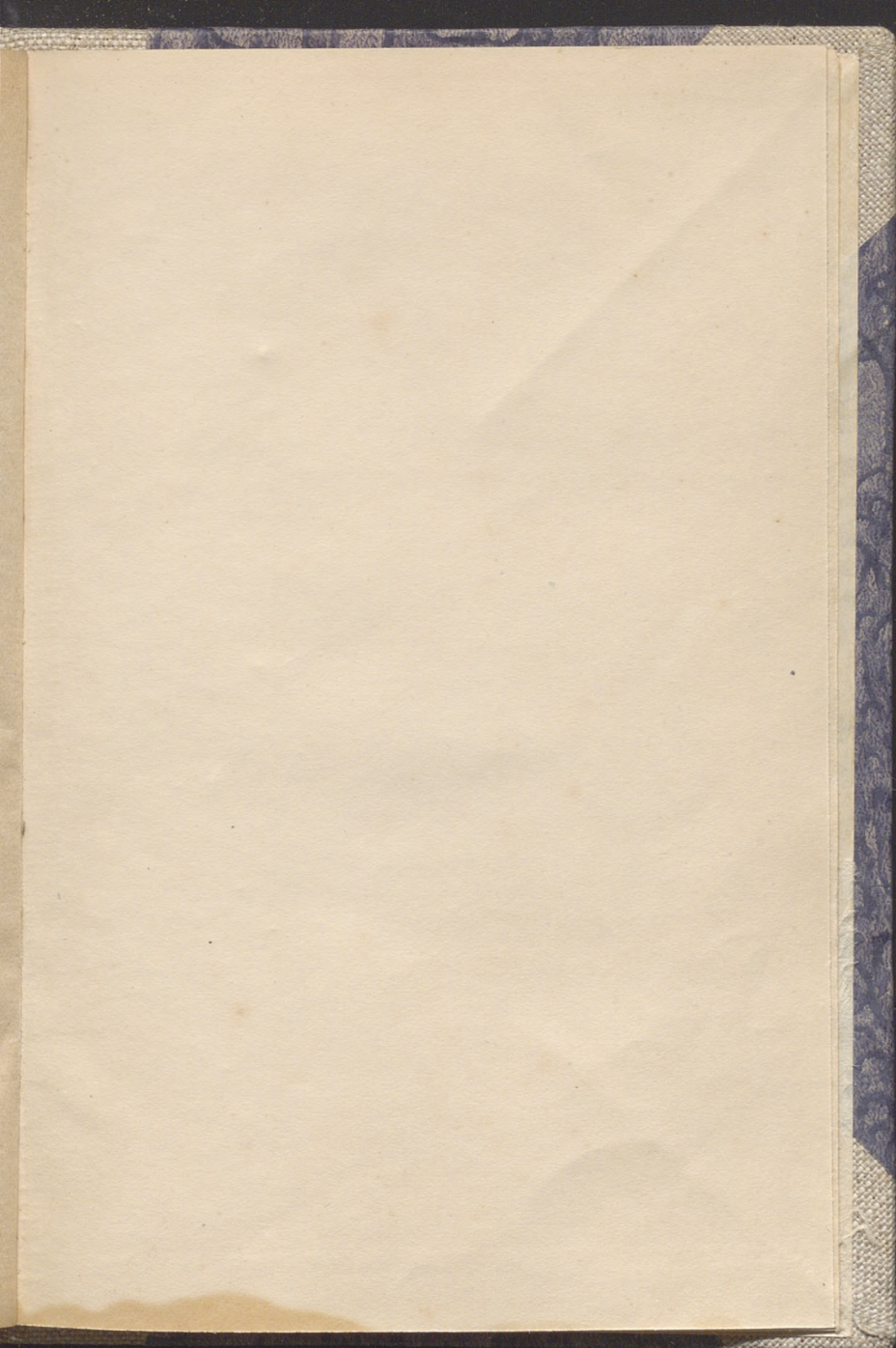
Kto się w opiekę poddał Panu swemu
A całym sercem szczerze ufa jemu
Śmieie rzec może: mam obrońcę Boga...

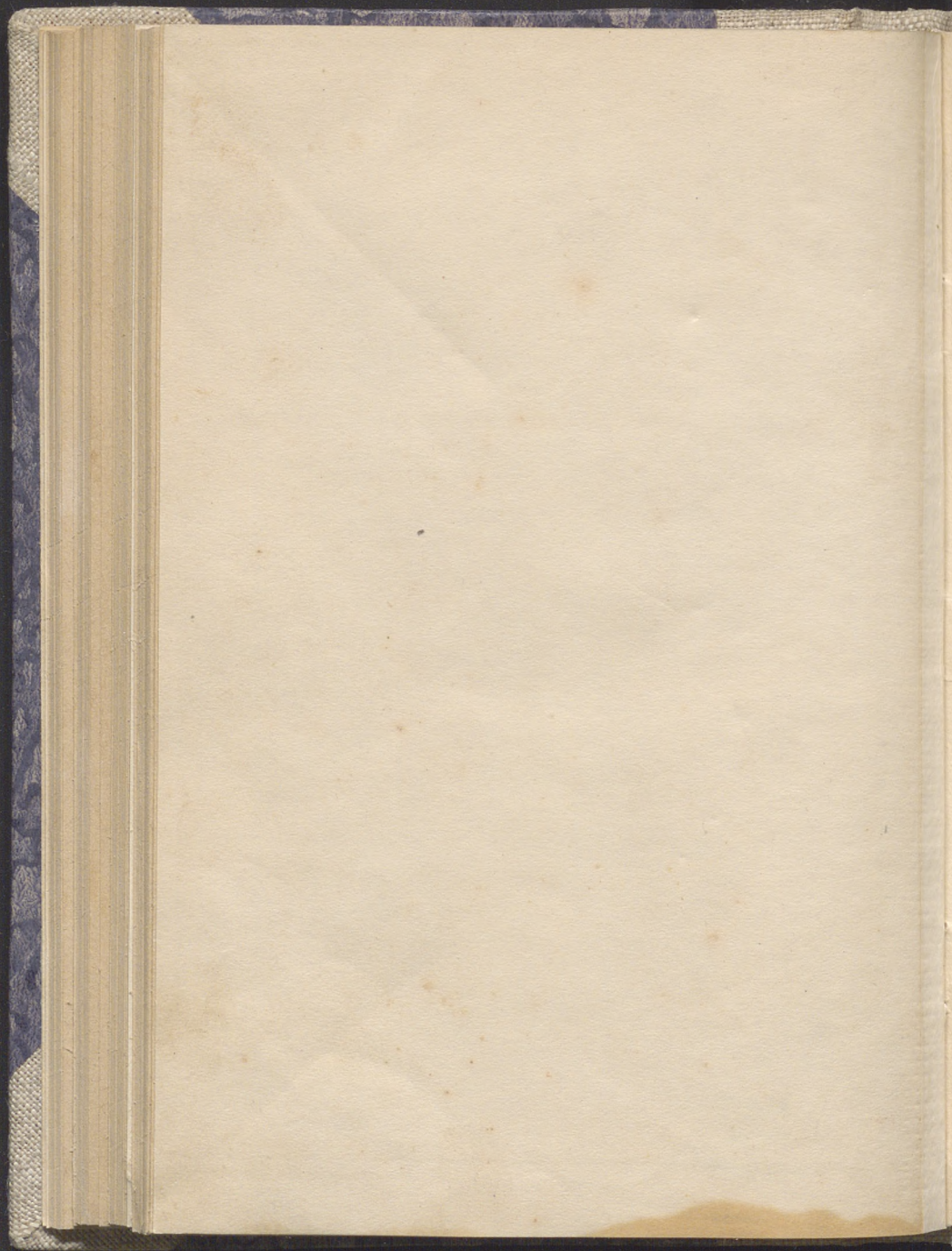
Rycerze śpią w Tatrach.

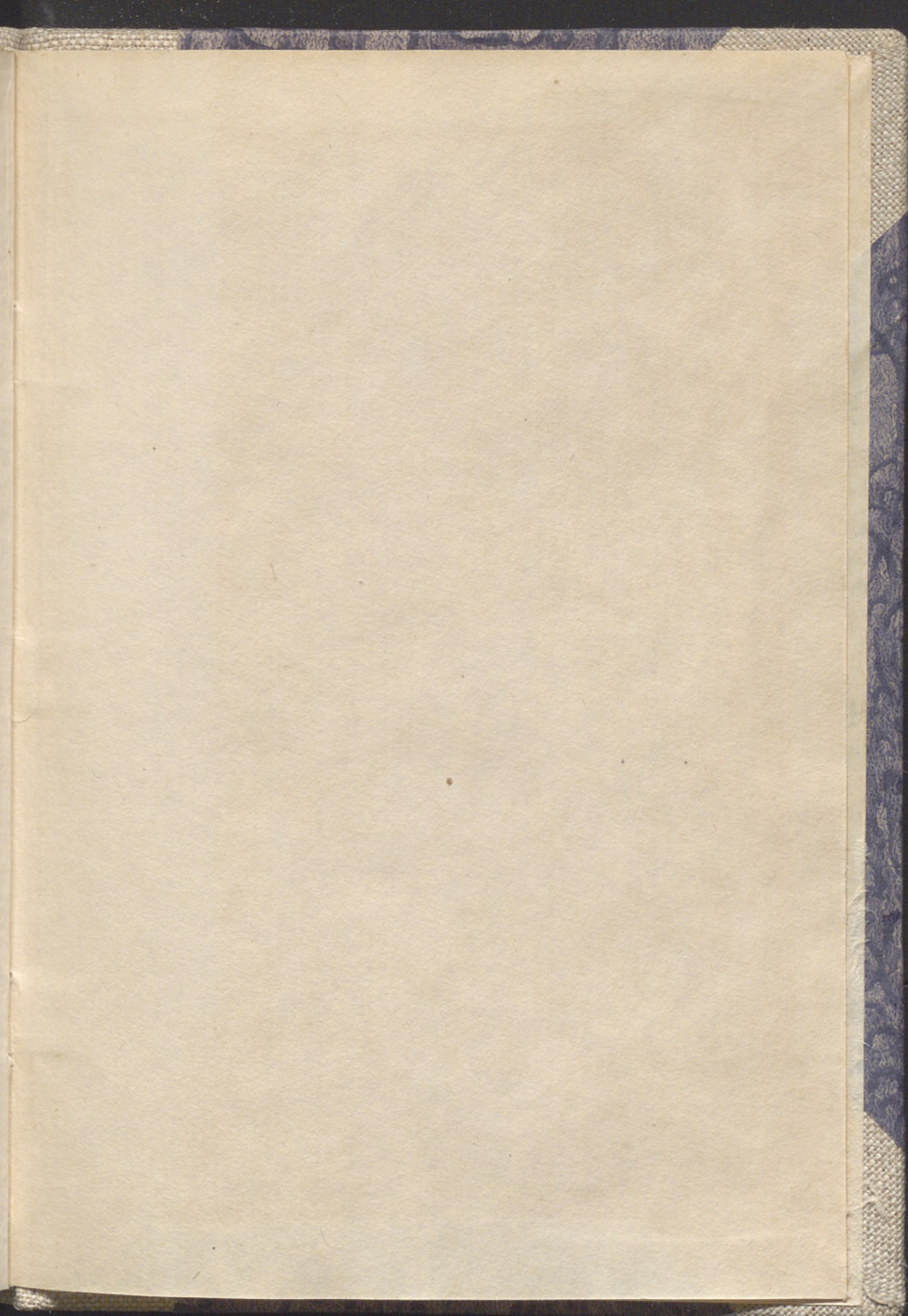
KONIEC.

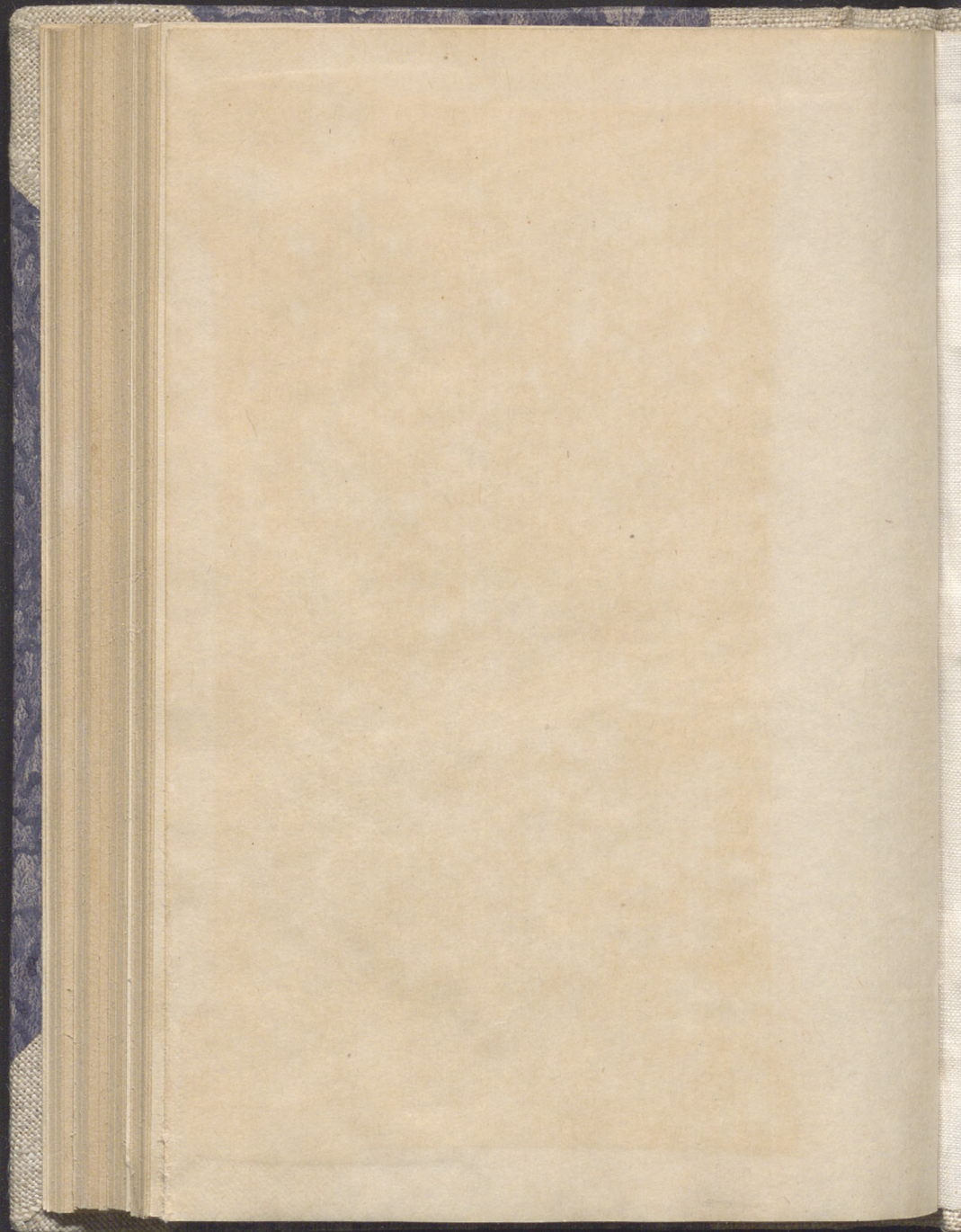


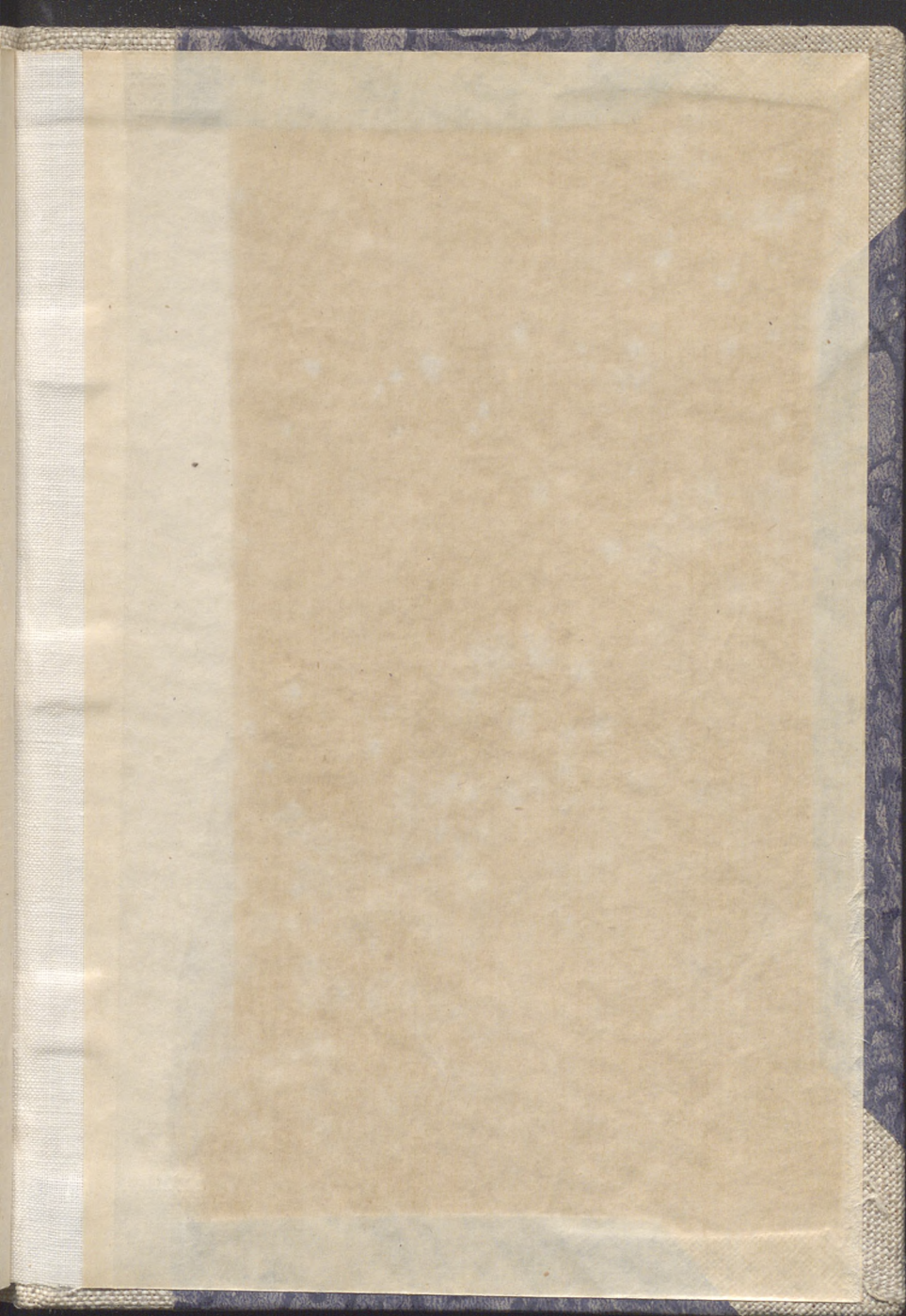
C.B.W.
H-wa
13-iv-72r













BIBLIOTEKA
NARODOWA

808519
